Nr. 47. Lwów, Niedziela dnia 29. Lipca 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

HISTORYA W NASZYCH SZKOŁACH SREDNICH.

Mówiliśmy niedawno o wykładzie nauk przyrodniczych w naszych szkołach średnich, i wskazaliśmy na naglącą potrzebę reformy w tym względzie, dziś chcemy przypomnieć, że i historya w naszych szkołach średnich czeka już od dawna na zmianę w swem traktowaniu.

Zadajmy sobie naprzód pytanie: czem powinna być historya dla szkół średnich, a odpowiedziawszy na to, zobaczmy, czem jest w rzeczywistości; tym sposobem wyczerpiemy kwestyą, o ile na to ramy wstępnego artykułu pozwalają.

Prawie wszystkie nauki wykładane w szkołach mają na celu wyłącznie rozwój zdolności kombinacyjnej i rozszerzenie wiedzy ucznia, to jest wykształcenie, wyostrzenie tego narzędzia, jakiem jest rozum i nagromadzenie materyału do użytku tego narzędzia. Takiemi są matematyka, fizyka, geografia, nauki przyrodnicze, języki. Tylko filologia, o ile zaznajamia ucznia z arcydziełami literatury, oprócz powyższego zadania ma jeszcze inne: wyrabiania smaku.

Ale uczucia moralnego w uczniu żadna z nauk pomienionych nie kształci, a przynajmniej leży to poza obrębem ich bezpośredniego działania. Otwierają one młodzieńcowi oczy na świat zewnętrzny, wskazują mu nieprzeparte prawa przyrody, niby żelazne obręcze opasujące bryłę ziemską, zdmuchują jedno po drugiem złudzenia dziecinnej wyobraźni, czynią go mędrszym, dojrzalszym, ale czy lepszym w gruncie serca? Czy zdolne one choć raz obudzić w uczniu świętą iskrę zapału, uwielbienie dla czynów wielkich i dobrych, czy zdolne krzewić w nim uczucie obowiązku, sprawiedliwości i miłości dla ludzi? Trzeba przyznać, że własną siłą nie mogą oddziaływać w tym kierunku.

Wpływ ten pozostawiony jest historyi. Mamy wprawdzie w szkołach teologią moralną, której głównem zadaniem ma być moralne kształcenie ucznia, ale któż nie wie, jak oddziaływa na młodzież zbiór suchych formułek, niczem nie przemawiających do wyobraźni? Zresztą, każda teologia ma swoje specyalne cele wyznaniowe, szkole zaś powinno chodzić o kształcenie moralnych uczuć w uczniu bez względu na jego wyznanie.

Historya przedstawia najlepsze ku temu pole. Naturalnie, powinna, o ile się da, unikać kolizyi wyznaniowych, ale i po zatem znajdzie aż nadto wiele gruntu neutralnego, na którym może przed oczyma młodzieńca przesuwać obrazy szlachetnych czynów, wzniosłych dążeń, bezinteresownej pracy dla ogółu, a przedewszystkiem niczem nie złamanej wierności dla obowiązku. Co bezbarwne formułki katechizmu daremnie siłą się wpoić w umysł ucznia, to żywe obrazy historyi wprowadzą w duszę jego drogą wyobraźni.

Ale kształcenie uczucia w uczniu nie jest jedynem zadaniem historyi w szkołach średnich. Ma ona mu dać ogólny pogląd na dzieje rodu ludzkiego, na ten rozległy przestwór napełniony tysiącami faktów, które pomimo pozornej rozmaitości wiecznie w podstawie swojej mają jedne i te same prawa, ma mu te prawa wskazać, dać obraz wieków i narodów, a wskazując przyczyny wzrostu i upadku tych ostatnich, być zarazem niejako praktyczną szkołą polityki.

Stosownie do tych dwóch zadań historyi muszą być dwa stopnie dla tej nauki w szkołach średnich. Znajdujemy je też w istocie w naszych szkołach i pozostaje nam teraz przypatrzeć się tym stopniom.

Na pierwszym stopniu historya w naszych szkołach średnich stara się poniekąd odpowiedzieć pierwszemu zadaniu przez nas nakreślonemu. Skupia ona uwagę ucznia na główniejszych postaciach występujących w historyi, a zajmując się ich charakterystyką, wydobywając światła i cienie w charakterach tych postaci, tem samem musi budzić wstręt lub współczucie w uczniu dla pewnych charakterów, czynów, objawów moralnych. Bardzo wiele tu zależy od daru opowiadania w nauczycielu, a może jeszcze więcej od tej szlachetnej intencyi, która elektrycznie udziela się uczniom. Ale jedno i drugie nie da się żadną teoryą wywołać, więc o tem nie będziemy mówili; dość nam, że szkoła na tym stopniu taki jak powiedzieliśmy przepisuje wykład nauczycielom, jeżeli zaś nauczyciel nie umie barwnie przedstawiać dziejów, to przynajmniej nie wolno mu obciążać pamięci ucznia nadmiarem faktów, co już jest dobrą stroną wykładu.

Co się tyczy drugiego stopnia, to tu dopiero przedstawia się nam widok opłakany. Szkoła o ile wiemy, nie daje tu wyraźnej instrukcyi nauczycielom, i jeżeli co zaleca, to tylko chyba podawanie faktów w jak największej obfitości. To też biedna głowa ucznia zasypaną jest stosem faktów i dat, z któremi nie może dać sobie rady, które w niej plączą się bezładnie, tworząc jakiś bezmyślny, bezduszny chaos. Rzeczy mniej ważne zabierają miejsce ważniejszym, skutki pojawiają się bez przyczyn, ludzie występują jak jakieś automaty bez krwi, bez ciała i bez duszy, i nazwiskami tylko różnią się od siebie. Państwa powstają, rosną, kwitną i upadają jakby na niewidzialną jakąś komendę; dlaczego to się dzieje, uczeń nie wie, ale za to doskonale powinien wiedzieć datę urodzin i koronacyi jakiegoś monarchy, genealogią rodzin panujących, umieć wyliczyć wszystkie bitwy i nazwiska jenerałów. Trzeba wiele dobrej woli i samodzielności w nauczycielu, trzeba wielkich zdolności w uczniu, aby ten ostatni mógł przy dzisiejszym kierunku odnieść jakąś prawdziwą korzyść z nauki historyi w szkołach. Jeszcze dla tych, którzy mają się potem poświęcić historyi, może mieć jakiś pożytek w przyszłości pamięciowe *wykucie* oderwanych dat i faktów, ale w obierającym inny zawód, cały stos historycznych faktów w ten sposób podawanych, w parę miesięcy po maturze ginie, jakby się zapadł w ziemię, i zostawia tylko ślady po sobie w zmęczeniu i wstręcie do nauki.

Najwięcej złego przyczyniają złe książki szkolne. Jeżeli nauczyciel włada znakomicie swoim przedmiotem i umie odróżnić rzeczy prawdziwie ważne od pozornie ważnych, to i wówczas zła książka szkolna krępuje go, przeszkadza mu w wykładzie; jeżeli zaś nauczyciel nie umie przetrawić tego, co z książek i wykładów zaczerpnął, i trzyma się niewolniczo złej książki szkolnej,

to ta ostatnia staje się narzędziem tortury dla młodych i świeżych umysłów.

Historya powszechna u nas w klasach wyższych oddawna upomina się o dobry podręcznik dla siebie. Najlepszym z używanych, podług zdania pedagogów, i najbardziej używanym jest Pütz, a tymczasem ten to Pütz właśnie (odliczywszy wybornie napisaną przez p. Tatomira część dotyczącą Polski) robi z historyi sumę dat, na zwisk i wypadków, niczem nie ożywionych i mechanicznie do siebie poprzyczepianych. Weźmy naprzykład dwie pierwsze wojny szlązkie, albo wojnę siedmioletnią. Mamy tu mnóstwo wyliczonych bitew, manewrów, nazwisk generałów, ścisłych dat chronologicznych przy każdej bitwie, które bardzo są ważne dla dojrzalszego pracownika na polu historyi, ale ucznia niczego nie uczą, a tymczasem przyczyny militarnej potęgi pruskiej, współczesna organizacya wojskowa, współczesne uobyczajenie Prus, wreszcie charakterystyka Fryderyka ani jednem słowem nie naznaczona.

Potrzeba nam zatem na gwałt dobrego podręcznika dla historyi powszechnej w szkołach średnich, któryby mniej sypał datami i faktami, mniej się wdawał w genealogią, dyplomacyą i drobiazgową chronologią, a więcej zwracał uwagi na życie wewnętrzne narodów, na stopień i charakter ich uobyczajenia, i z tego życia wewnętrznego, jako z naturalnej podstawy, wyprowadzał fakta zewnętrzne, które dopiero wtedy nabiorą życia, staną się zrozumiałymi dla ucznia, i utkwią nie bez pożytku w jego pamięci.

Dobry taki podręcznik nie zastąpi jeszcze dobrego wykładu, nie stworzy sam dobrych nauczycieli, ale wskaże im przynajmniej kierunek, którego się trzymać mają i uwolni uczniów od mechanicznego uczenia się historyi.

SWATY NA RUSI.

(Opowiadanie byłego alumna;)

Humoreska

JANA LAMA.

Mimo unii cerkwi wschodniej z kościołem rzymskim, ogromna przepaść dzieli młodzież poświęcającą się stanowi duchownemu w jednym i drugim obrządku. Nie mówię tu bynajmniej o różnicach i sporach politycznych, socyalnych i językowych, któremi od trzydziestu lat uprzyjemniamy sobie nawzajem życie we wschodniej Galicyi. Polityka mi obmierzła a przytem odgrywa ona w codziennej rzeczywistości bardzo podrzędną rolę. Człowiek jest najpierw człowiekiem, t. j. istotą rozumną i posiadającą apetyt, jakoteż pragnienie, później zaś dopiero uczą go azbuki i postu, bądź według gregoryańskiego, bądź według juliańskiego kalendarza. Otóż różnica, o której mówię, daje się spostrzegać głównie z tego ogólno-ludzkiego punktu widzenia, zwłaszcza jeżeli zważymy, że do rzeczy ogólno-ludzkich zaliczaja dawni i nowi uczeni także i płeć piękną, a tylko poeci w chwilach dobrego humoru nadają jej stanowisko nadziemskie, obłoczne, niezgodne z najkardynalniejszemi prawidłami fizyki. Powiem nawet, że nie ma punktu bardziej ogólno-ludzkiego, jak punkt ogólno-żeński— *„das ewig Weibliche"* Getego — a z tego to właśnie punktu, jakże inaczej przedstawia się młodzieniec w czarnej sutanie, w miarę jak opasany jest czerwonym pasem, lub czarnym! Czerwony pas*) z daleka już znamionuje indywiduum, które przez całe życie swoje dla niewąsatej połowy rodzaju ludzkiego będzie miało, lub mieć będzie powinno, znaczenie czysto-duchowne, moralne, fizycznie nieuchwytne — indywiduum, które do grobowej deski znać będzie *jeden* tylko pantofel, a mianowicie, pantofel Ojca świętego! Gdybym był panną na wydaniu, ściskałoby mi się serce na widok tej czerwonoprzepasanej falangi, sunącej parami z seminaryum na uniwersytet. Zupełnie inne uczucia budziłby we mnie hufiec o czarnych pasach. Alumnus ruski już powierzchownością swoją różni się od łacińskiego. Kroczy on gromadniej chodnikami, nogami zamaszyście odrzuca sutanę, i bezpiecznie jest z daleka ustąpić mu z drogi, bo pochód jego podobnym jest do natarcia ciężkiej jazdy, roztrącającej i przewracającej wszystko przed sobą. Czuje on wartość swoją, jest bowiem owym gościem najpożądańszym w każdym domu, gdzie są panny: jest *epuzerem* par excellence. Nim się wyświęci, może, a najczęściej *musi* się ożenić, bo perspektywa chudej kanonii bardzo tylko wyjątkowo przysparza zwolenników celibatowi.

Szczególnie w rodzinach księży unickich, zamieszkałych na wsi, gdzie mało jest kawalerów na ożenieniu, pojawienie się „alumnów" w czasie świątecznym lub wakacyjnym jest wypadkiem wielkiej wagi, a im bliżej alumnusowi do czwartego roku teologii, t. j. do tego momentu, w którym ma wstąpić jednocześnie w stan małżeński i kapłański, tem bardziej doniosłość tego wypadku przenosi doniosłość wypowiedzenia wojny wschodniej, lub zamachu stanu we Francyi. Za dawnych czasów, kiedy wymagania pod względem potrzeb i wygód życia były o wiele skromniejszemi, niż dzisiaj, kura gotowana w mleku uchodziła za nielada wybryk gastronomiczny. Na przyjęcie alumnów z czwartego roku przyrządzano ten specyał. Dziś przyjęcie bywa więcej zbliżonem do ogólno-europejskich pojęć kulinarnych, ale zresztą nic się nie zmieniło w stosunkach, a w odleglejszych zakątkach utrzymało się jeszcze nie mało dawnych zwyczajów, za pomocą których kawaler i panna dawali sobie do poznania, czy będzie z nich para. Ponieważ atoli opowiadanie niniejsze nie jest traktatem o przedmatrymonialnych ceremoniach kleru unickiego, więc odkładam na inny czas ogólniejsze uwagi o tym przedmiocie, a przystępuję do rzeczy. Muszę zapowiedzieć z góry, że to co mam do opowiedzenia, mogłoby było równie łatwo wydarzyć się na Mazurach, jak i na Rusi, i że bohaterem mógłby być leśniczy, urzędnik, dzierżawca i t. p. tak dobrze, jak ksiądz unicki. Jedyną wschodnio-galicyjską właściwością jest tu tylko mięszanina językowa, którą zmuszony będę wprowadzić w dyalogach, i za którą z góry przepraszam niegalicyjskiego czytelnika. Zdaniem mojem wszakże, wszystko co pojawia się w rzeczywistości, godnem jest zanotowania w druku, z czasem bowiem ludzie zaczną zapewne lepiej pisać historyą, niż to czynią

*) Dla czytelników niegalicyjskich dodaję tu objaśnienie, że we Lwowie i w Przemyślu łacińscy słuchacze teologii odróżniają się od grecko-katolickich czerwonym pasem P. A.

dzisiaj, a wówczas pożądanemi im będą takie notatki, rzucające swiatło na stosunki, obyczaje, wyobrażenia i narzecza epok, które szybko przemijają i zmieniają się, jedna po drugiej. Toż w oczach naszych, co dziesięć lat tyle się zmienia, że ludzie czterdziestoletni mogą trzydziestoletnim opowiadać o rzeczach, których ci i śladu nie widzieli, a których tamci byli naocznymi świadkami! Na tej zasadzie. oddaję głos mojemu przyjacielowi, p. Aitalowi Budzickiemu.

— Ten ks. Borodajkiewicz — powiadał mi p. Budzicki w ciągu naszej rozmowy, dał mi się we znaki dwa razy w życiu. Poznałem go podczas wakacyi, które przepędzałem na wsi, w towarzystwie kilku kolegów. Pewnego wieczora pojawił się niespodzianie na kolacyą i na nocleg. Miał siedm stóp wzrostu, odpowiednią szerokość w barkach, a w kieszeni fajkę niemniej zastosowaną do wzrostu. Po kolacyi zakwaterowano go w naszym kawalerskim pokoju, gdzie właśnie nie bez smętnych rozmyślań przypatrywaliśmy się ostatniej paczce *Szwarzdraikenig'u**), już nadpoczętej; bo to i do miasta daleko, i słota na dworze, i finanse studenckie nie znoszą częstego odnawiania zapasów, i nakoniec, jak tu wytrzymać na wsi bez tytoniu?

— Macie tytoń, chłopcy? zagadnął dobrodziej, i, nie czekając odpowiedzi, sięgnął po paczkę, wydobył swoję półgarncówkę z zanadrza, i począł ją ładować bez miłosierdzia. Boleść odjęła nam mowę...

Ksiądz oddarł kawałek papieru od paczki, zapalił lulkę, pa-paknął mocno kilka razy, i rozsiadłszy się wygodnie na łóżku, a nie odejmując przytem ręki od naszego *szwarcdrajkenigu*, począł nas bawić rozmową. Uszanowanie dla dostojeństwa kapłańskiego i starszego wieku nie pozwalało nam rzucić się do stołu i odebrać naszą własność, ale na widok, jak ona szła z dymem. smętnieliśmy coraz bardziej i nie zwracaliśmy oczywiście na słowa księdza proboszcza takiej uwagi, na jaką one zasługiwały. O ile przypomnieć sobie mogę ze względu na ówczesny stan mojego umysłu, z opowiadania ks. Borodajkiewicza wynikało, że jest wdowcem, że ma nie złą parafię, i nie wymagającą snać wielkiej mozoły, albowiem proboszcz bywa często bardzo u Kapucynów w Przedborzu i pomaga im spełniać rozmaite funkcye kościelne. I tak, między innemi, miał niedawno kazanie w ich kościele, ale ponieważ wdział przy tej sposobności komżę łacińską a konsystorz unicki dowiedział się o tem, więc skazano księdza na rekolekcye, albo na zapłacenie 50 złr. grzywny.

— To też jadę właśnie do nich, niech płacą; ja przecież nie będę za nich siedział, ani płacił!

O ile sentencya ta była słuszną i trudną do odparcia, o tyle mniej podobało nam się to, że dobrodziej wygłosiwszy swój argument z emfazą, i dodawszy mu nacisku wypukaniem *armstronga*, z którego palił nasz tytoń, zabrał się na nowo do nakładania faj-

*) Szwarc-Drei-König. tytoń sprzedawany przez administracyą austryacką, w paczkach mających około $1\frac{1}{2}$ łuta wagi P. A.

ki! Robiło nam się naprzemian zimno i gorąco, ale nie było rady — reszta naszego *drajkenigu* znikła w tej glinianej przepaści, a gość nasz wyćmiwszy ją do szczętu, położył się spać i wkrótce chrapał jak fagot lwowskiej „Harmonii“.

Z goryczą w sercu zebraliśmy proch, który został w papierze, i nasypaliśmy go do naszej *stambulki*, która obok księżej wyglądała tak, jak ruski wikary obok łacińskiego arcybiskupa. Zapaliliśmy ją i podając ją sobie w kółko, *more academico*, dla pociągnięcia choćby jednego *szluka* *), dumaliśmy, jako prawdziwi Rusini, nad naszą biedą, nie myśląc o tem, jakby jej zaradzić. Wtem nie pamiętam już który z nas, ale pewno taki, co musiał mieć w sobie przymieszkę krwi obcej, spostrzegł dwa sznurki zielone, wiszące aż na ziemię z kapoty ks. Borodajkiewicza, złożonej na krześle. Sznurki takie, dla rzeczoznawcy, zwiastują niemylnie obecność kapciucha, z tytoniem, lub bez tytoniu. Kolega mój podsunął się na palcach, i — o radości! z głębi kapoty parochialnej wyłonił się kapciuch kolosalnych, odpowiednich fajce rozmiarów, zrobiony z pęcherza, który musiał być dawniej własnością mamuta, albo innego olbrzyma przedpotopowego. Kapciuch ten napchany był *dreikenigiem*, ale nie takim, jak nasz, *dreikenigiem Extrafein, erste Sorte*, żółciutkim jak wosk, cieniutkim jak włos, a wonnym jak myrra niebiańska!

Na prędce i po cichu odbyliśmy radę wojenną, na której stanęło: 1mo że antecedencye, których byliśmy świadkami, jakoteż duch opowiadań, któreśmy słyszeli, nie pozwalają ani na chwilę przypuszczać, ażeby ks Borodajkiewicz *kupił* sobie tak wyborny tytoń, ale że skarb przez nas znaleziony pochodzić musi albo od OO. Kapucynów w Przedborzu, albo od X. dziekana w Lachowicach, gdzie zapasy są niewyczerpane, a więc, że: 2do zupełnie godziwą jest rzeczą, byśmy stratę naszą powetowali na treści kapciucha. W wykonaniu tej uchwały, wysypaliśmy tytoń w dużą torbę z papieru, a próżny pęcherz nadęliśmy, i zawiązawszy go mocno sznurkiem, aby powietrze nie wyszło, włożyliśmy go napowrót w kieszeń kapoty. (C. d. n.)

*) Szluk — zaciągnięcie się dymem z tytoniu. P. A.

SPRAWA KAZAŃSKA.

przez

Z. O.

Przejścia jakie miały miejsce z więźniami naszymi w Kazaniu są zupełnie nieznane dla wielu; szczególniej dla Polaków oddychających swobodniejszą atmosferą skreślamy ją szczegółowo, jako część należącą do historyi mordów moskiewskich, spełniających się na Polakach — zawsze z jednakową wytrwałością i przerażającą dzikością.

W pierwszym dniu powstania narodowego 1863 r. kilkudziesięciu (50) młodzieży Lubelskiej, chroniąc się przed nastąpić mającą branką, w niedostatku broni pochwyciwszy za noże — nocą wyszli z miasta, a dotarłszy do rozłożonych w pobliskich wsiach Moskali — uderzyli na nich.

Choć zacięcie nożami walczono, napad nie powiódł się, i tejże samej nocy Moskale, skrępowaną powrozami młodzież odprowadzili do ciemnych cel więziennych w Lublinie. Nie wiedząc czy i na innych miejscach tak samo się nieposzczęściło powstańcom, lub czy może nie doszło zupełnie do takiego kroku, uczuli się więźniowie izolowanymi i pewnymi, że ich wystąpienie ukarane szubienicą zostanie, tem pewniej jeżeli tylko sami do czynu wystąpili.

Nie długo roznamiętniona ciekawość uspokajać się zaczęła; — każdy dzień bowiem zwiększał liczbę więźniów, a wiadomości ze świata przynoszone, że powstanie coraz więcej wzmagać się zaczyna, przejęły ich niewypowiedzianą rozkoszą. Nawet nie mogąc podzielać błogiego losu szczęśliwszych, którzy prowadzili otwartą walkę, czuli się poniekąd szczęśliwymi, że uniknęli szynel sołdackich i branki, przez którą dzisiaj stanęliby jako moskiewscy sołdaci przeciw własnym braciom.

Teraz jakikolwiek miał ich czekać koniec, było im obojętnem, byleby tylko nie być sołdatami i nie spodlić się służbą carowi, spędzali dzień za dniem nie troszcząc się o czasu rachubę, z tem przekonaniem, że jeżeli tylko nie zostaną rozstrzelani, to musi zawsze nadejść sposobność, iż i oni pomnożą szeregi powstańcze.

Tymczasem trzeci miesiąc dobiegał, a Moskale jakby zapomnieli o nich, nie dają żadnego rozporządzenia. Aż dopiero w ostatnich dniach marca otworzono więzienia, odziano więźniów w płaszcze i czapki rekruckie i odesłano transportem jako sołdatów do Kazania. Przerażenie tej biednej młodzieży, gdy jeden w drugim ujrzał tego wstrętnego służalca despotyzmu, nędznego rekruta, czego aby uniknąć, życiem opłacić chcieli, nie miało granic! Pół roty wojska z nabitą bronią otoczyło rekrutów, wściekłość więźniów nic nie pomagała, a otrzymawszy żołdu po 4 kopiejki, wyruszono niebawem w drogę.

W czasie, w jakim ten marsz miał się odbywać, przyspieszano gwałtownie takowy. — Dniem i nocą, albo piechotą albo na podwodach, spieszyli Moskale z polskimi rekrutami, aby jak najprędzej wyjść z okolic powstaniem objętych.— Po kilku tygodniach stanął nareszcie ów transport sołdacki w Kazaniu.

Po przybyciu na miejsce, generalna komenda wyznaczyła pułk „Czystopolskij“ i buntowniczych rekrutów przyłączono zaraz do ukraińskiego rezerwowego batalionu, biwakującego o kilkadziesiąt wiorstw od Kazania.

Wcieleni takim sposobem do szeregów moskiewskich Kazańczycy *) mając tam wieści od niektórych żołnierzy, że w Polsce powstanie coraz silniej sroży się, zaczęli z całą ochotą poddawać się strasznej konieczności, tem silniej wierząc, że przyjdzie jeszcze dla nich chwila zbawienia, i że z tych samych ćwiczeń wojskowych będą składać egzamina na polu bitew z Moskalami. W ciągu trzech i pół miesięcy z prawdziwym zapałem od rana do nocy ćwiczyli się w użyciu broni, a wyprzedzając innych żołnierzy, stali się prawdziwym podziwem swego batalionu. Sołdaci koledzy widząc polskich kolegów tak imponująco wyższych od siebie, poczęli uginać kark przed nimi. Kazańczycy nie omieszkali skorzystać z tej swojej zdobytej wyższości i będąc w towarzystwie tylko z sołdatami, zaczęli ich nauczać, co to jest car a co wolność, do czego oni, jeżeli chcą być ludźmi, dążyć powinni i dla czego Polacy podnieśli broń przeciw carowi! Te i tym podobne nauki, udzielane w przeciągu kilku miesięcy kolegom sołdatom, poparte ze strony Kazańczyków przykładami w codziennem życiu, w zachowaniu się tak do równych Moskali jak i do ciemnego i głupiego gaficerstwa, excytowało nadzwyczajnie sołdatów, tak że ci zaczęli objawiać niepokojące usposobienia. Niesubordynacya wkradać się w szeregi zaczęła, a powtarzające się z każdem dniem niepokoje żołnierzy zmusiły oficerów do podania raportu swemu pułkownikowi. Pułkownik natychmiast przesłał raport do korpusu, że Polacy buntują pułk, i że ztąd można spodziewać się buntu wojskowego, któremu natychmiast przeszkodzić potrzeba.

Dotychczas nasi Kazańczycy nie złożyli przysięgi. Czy to nastąpiło wskutek zapomnienia, czy też było to odłożone do późniejszego i odpowiedniego czasu, dość na tem, że nie złożyli dotychczas przysięgi. Przyszedł więc rozkaz z korpusu, aby natychmiast Polacy złożyli takową, a następnie postąpić z nimi podług praw wojennych jako z sołdatami. Zawezwano ich zaraz do kancelaryi batalionowej, gdzie oczekiwało wielu wyższych oficerów umyślnie przybyłych z Kazania. Przywieziono ze sobą także księdza Galińskiego *) aby ten odczytał rotę przysięgi i użył powagi duchownej w celu wyjaśnienia obowiązków, jakim się poddać muszą, gdyż inaczej zuchwalstwo życiem przepłacą.

Ksiądz po przygotowaniu odpowiednich formalności, gdy Kazańczycy w szeregach stali, zaczął czytać rotę, wzywając ich do podniesienia rąk do góry. Wówczas kilku podstępuje do księdza, prosząc go aby ta rota czytaną była w języku rodzinnym, gdyż oni nie rozumieją po moskiewsku. Ksiądz Galiński dał po polsku wyjaśnienie, a gdy je ukończył, odpowiadają kazańczycy jednogłośnie: „Przysięgać nie będziemy bo już raz złożyliśmy przysięgę na wierność Polsce, a ksiądz jako przedstawiciel religii, nie powinien dać uwieść się rozkazom cara, i zmuszać nas do krzywoprzysięstwa.“

(C. d. n)

*) Odtąd zatrzymuję tę nazwę w opowiadaniu dla młodzieży Lubelskiej, pod którą ją poznało się i którą nadal w życiu zachowała.

*) Ksiądz Galiński, zesłany później został do archangielskiej gubernii za to, że nie potrafił wpłynąć na Kazańczyków, aby złożyli przysięgę na wierność carowi

MARYSIA.

PRAWDZIWE OPOWIADANIE WIEŚNIACZKI

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

(Ciąg dalszy).

Widzą pani, jaki to człowiek mocny, nie umarłam wtedy nawet, chociaż wiedziałam, że mnie wydadzą za innego, a nie za tego, którego kochałam.

We dwie niedziele po prażniku odbyło się moje wesele z Iwanem. Przez całe wesele mnie się nie zdawało, że to moje; tak słuchałam i tak patrzyłam jak na cudze. Aż dopiero w niedzielę wieczór, jak pani wiedzą, że pan młody musi wykupić pannę młodą od dziewcząt, tj. płacąc pieniędzmi i dobijając się siłą, musi się do niej dostać za stół, gdzie ona siedzi między dziewczętami i pocałować ją, wtedy dziewczęta uciekają a ona już zostaje za stołem z mężem i kobiety ją

obsiadują do koła. Iwan dostawszy się za stół, nachylił się, chciał mnie objąć i pocałować. Jam się obejrzała i w kącie chaty zobaczyłam mego Fedia; — stał smutny, zdawało mi się, że płacze. Skoczyłam, odepchnęłam Iwana, ławę przewróciłam, wybiegłam na chatę — jego już nie było, ale jam nie wróciła, zamknęłam się w komorze. Ojciec się gniewał, kazał otworzyć, straszył, że siekierą drzwi rozbije i kto wie, czyby tak nie był zrobił, ale Iwan nie pozwolił. Słyszałam, jak mówił: — Ona już moja żona — a ja nie chcę przez siłę całować ją. — Całe wesele zwarzyło się, pokręcili się jeszcze trochę, sprosin już nie było i wieczorem porozchodzili się.

Wesele skończyło się, a ja cóż miałam zrobić ze sobą? Nie wyszłam z komory cały poniedziałek i wtorek do południa. Słyszałam, jak ojciec się gniewał, jak matka płakała, jak kumy doradzały, żeby księdza sprowadzić, ale Iwan nie pozwolił, mówiąc:

— Ksiądz zrobił, co do niego należało, dał ślub, i ona teraz moja żona — dajcież jej pokój, niech robi co się jej podoba — ja nie chcę żony przez siłę. Bo o co wam chodzi? będę wam pracował, swoją chudobą oborzę i zasieję i będę robił jak na swojem, póki jej brat nie dorośnie, ale niech między mną i nią nikt nie staje.

I dali rodzice pokój. — Ojciec we wtorek popołudniu pojechał z transportem, matka poszła kopać kartofle, a Iwan został przy chacie. Ja to wszystko widziałam, bo w komorze było okienko u góry, przez które widać było, co się robi na podwórzu. Iwan przystąpił pode drzwi komory — zastukał: — Marysiu, co ty tam robisz, zachorujesz jeszcze — taż to drugi dzień nic nie jesz, czego mnie się boisz? ja nic nie chcę, tylko żebyś zjadła trochę mleka, — przyniosłem ci bułkę z miasta. Nie na jego prośby, ale z głodu otworzyłam drzwi, bo to już tak pan Bóg dał, że choć człowiek nieszczęśliwy, to jeść musi; i mnie głód przymusił, żem wyszła z komory. On postawił na stole miskę z mleczną kaszą, położył bułkę, przyniósł łyżkę i wyszedł z chaty. Zjadłszy trochę, wzięłam motykę i poszłam za matką do kartofel. Bo to u nas w największym smutku człowiek nie tylko jeść, ale i robić musi. A ja byłam taka nieszczęśliwa, że ani już płakać ani nawet myśleć nie mogłam; nic nie myślałam, tylko tamten mój biedny stał mi na oczach, nie tak na oczach, jak w sercu, bo moje całe serce nim tylko było. Na polu zastałam Iwana z matką. Przyszedłszy, nic do nich nie zagadałam ani nawet „Daj boże szczęście“, ale zaczęłam kopać kartofle — i oni do mnie nic. Wieczór Iwan przyjechał z wozem wykopane zabierać do domu. Stały worki po korcu, a dwą po pięć ćwierci. Mnie strzeliło do głowy: jakby to dobrze było, chwycić ten worek, podźwigać się i umrzeć. Dzisiaj wiem, że to był wielki grzech, ale wtedy nie myślałam o tem, a i Bóg mi tego za grzech policzyć nie mógł, bo widział, że mnie od bolu i żalu w głowie się zawracało. Pięć ćwierci kartofel chwyciłam jak piórko przed siebie i przez drabiny wrzuciłam do wozu. Iwan ręce załamał, a spostrzegłszy, że obróciłam się po drugi worek, skoczył, chwycił go za dwa rogi od spodu i wysypał kartofle na ziemię. Widząc, że już mi nie dopuści dźwignąć drugiego, nie spojrzawszy nawet na niego poszłam do domu. Zjadłam trochę zimnej niedojedzonej pierwej kaszy i nie czekając. aż powrócą, zamknęłam się w komorze. I tak się rozpoczęło nasze pożycie.

Każdego dnia po robocie zamykałam się póki jeszcze było ciepło, w komorze, a w zimie po drugiej stronie w piekarni. On nic nie mówił, nie gniewał się i ojcu nie pozwalał wymyślać na mnie. Pracował, zapobiegał, rodziców szanował. Jam musiała także robić, bo matka zaczęła niedomagać; zdała na mnie w zimie gotowanie. Iwan pilnował, żeby była sól na sól, omasta na omastę. Musieliśmy mówić ze sobą o gospodarstwie, chodzić razem koło bydła, ale nigdy nie było wspomniane, że mamy być żoną i mężem. Tak przeszła zima. — Od mego Fedia nie było żadnej wiadomości, bo jakże miał pisać, kiedy go zagnali na „kraj świata“; nikt go nie wspominał, bo myśleli, że ja go prędzej zapomnę. A nie wiedzieli, że w dniu nie było ani jednej minuty, w którejby myśl moja nie była przy nim, wieczór po Bogu, bo już po pacierzu, stał jeszcze koło mnie, z rana, nim myśl moja zwróciła się do Boga, już była przy nim. Bóg mi tego nie brał za grzech, bo kochanie to, jakie było w mojem sercu, było za wolą Bożą i Bóg sam nie chciał, abym zapomniała tego, którego mi kazał pokochać.

Z wiosną zaczęłam znowu sypiać zamknięta w komorze. Rodzice już się byli przyzwyczaili, chociaż ojciec od mego wesela ciągle chodził chmurny, a Iwan zaczął tracić cierpliwość. Raz idąc po wieczerzy do komory zastałam go na progu; chwycił mnie silnie za rękę i powiedział takim jakimś głosem nie swoim:

— Marysiu, powiedz mi, jak długo będzie tego?

Ja mu się wyrwałam, wybiegłam do komory, i drzwi zasunęłam za sobą.

Raz znowu w niedzielę, pamiętam, już wieczór, siedziałam na przyzbie przed chatą i myślałam o moim Fediu — jam już o niczem innem myśleć nie umiała. Iwan przyszedł i siadł koło mnie, siedział długo — nic nie mówił, tylko patrzał na mnie, w końcu wyciągnął rękę, objął mnie w pół, nachylił się i chciał pocałować. O jakże ta ręka wydała mi się obcą, to serce, którego bicie głośne uczułam przy piersi, cudze, nie moje, — nie to, w którem dusza moja utonęła! Krzyknęłam, pchnęłam go od siebie, wbiegłam do komory i drzwi zatrzasnęłam. Iwan późno w nocy wrócił z karczmy pijany, poznałam to po kłótni z ojcem i bratem.

Stracił już cierpliwość. Ile razy bywało klęczy do północy i dalej na progu komory i bije głową o drzwi, a ja jakbym nie słyszała. Nareszcie zaczął się opuszczać w gospodarstwie, napijać się coraz częściej. Rodzice opamiętali się, że to z mojej winy. Ojciec już nie krzyczał, nie gniewał się, bo wiedział, że toby nic nie pomogło, ale poszedł do księdza. Widać rozpowiedział, jak i co się u nas robi, bo ksiądz zaraz przysłał po mnie. Wszystko już wiedział, bo i o nic się nie pytał, tylko zaraz zaczął mi powiadać, jakito ja biorę grzech ciężki na sumienie, że przezemnie taki dobry gospodarz, taki porządny chłopiec, jak Iwan, rozpije się i zejdzie na nic, że gospodarstwo podupadnie, że rodzice się zagryzą na śmierć, i już nawet nie pamiętam, co jeszcze mówił, a ja musiałam i wierzyć, bo czułam sama w sumieniu, że tak jest. Kazał mi potem na drugi dzień przyjść do spowiedzi i na służbę bożą, którą ojciec zakupił. Poszli więc rodzice, Iwan i ja — ksiądz przy mszy wspominał moje imię, a potem czytał nademną Ewangelią, mówił modlitwy i kropił mnie święconą wodą...

W rok dał nam Pan Bóg syna, ale żył tylko cztery niedziele i pochowaliśmy go. Na drugi rok urodziła się dziewczyna; ta chowała się do półtora roku i także umarła—do sześć miesięcy moja matka poszła za nią. Pani wiedzą co to pogrzeb u nas kosztuje, to też choć mieliśmy się dobrze, dawała się czasem bieda uczuwać. Przednowki były ciężkie. Potem pan Bóg dał znowu dziewczynę i znowu chłopca; te chowały się dłużej. Dziewczynka miała już pięć lat a chłopiec trzy, i oboje w jednym tygodniu pochowałam! Mało nie zwaryowałam za temi dziećmi, bo to były śliczne jak pańskie. I to żeby choć chorowały! gdzie tam — zadusiło na trzy dni, i już nie ma! Pomyślałam sobie wtedy, że to może tak mnie Bóg karze, żem zapomnieć nie mogła Fedia mego biednego! Dzieci rodziły się i marły, matkę rodzoną chowałam, przednowinki przebywałam, a on mi z myśli i z serca ani na godzinę jedną nie schodził. Ludzie zaczęli już gadać, że gdzieś umarł, bo żadnej wiadomości nie było; inni przychodzili na urlopy, on nie, i żaden o nim nic nie wiedział. Nareszcie ci, co z nim razem byli zaasenterowani, powrócili już z abszytami, a jego nie było. Teraz już mówili, że z pewnością umarł, ja jedna wiedziałam, że nie — bo tu czułam, (przycisnęła ręką serce), że on żyje! Wiedziałam, że ja nie umrę, nie mogę umrzeć, że nim mnie pochowają, muszę go jeszcze widzieć, muszę się jeszcze raz uczuć przy jego sercu!

Niechże pani sami powiedzą, czy nie był to dopust Boży? — zwróciła się do mnie opowiadająca z wielką wiarą. Iwan był dla mnie tak dobrym mężem, że już na to słów nie mam, wszystko miałam, czego dusza zapragnęła. Bywało na przednowku, ciągnie się z ostatniego, a ja mam bułki na bułki, chleb na chleb, kiedy nieraz najpierwsze gospodynie po miesiącu chleba nie widzą w swojej chacie. Bywało wychodząc gdzie na robotę, bo był siekiernikiem dobrym, to i we dworze często robił, obcałuje mi ręce, kolana, nogi, a prosi abym się nie męczyła, aby sługa wody przyniosła, drzewa przerąbała, bo zawsze trzymał mi sługę; i gdybym była tylko chciała, tobym była nic nie robiła, ale ja, tak jak dotąd nie lubiłam posiedzieć darmo. — No! i widzą pani, ja przy takim mężu, za tamtym tęskniłam, na moment z myśli mi nie schodził, i nieraz mnie tak rozebrało, że gdybym tylko była wiedziała, gdzie on jest, tobym była porzuciła dzieci, dom, męża i szła za nim w świat, aby go raz jeszcze ujrzeć! To też gdy mi te dwoje dzieci w jednym tygodniu pomarły, to była chwila, w której mi się zdawało, że to może kara Boża. Ale ledwo to pomyślałam, przejął mnie strach i żal wielki. A gdyby pan Bóg tak zrobił, żebym zapomniała Fedia i żeby mi

za to dał dzieci, któreby się chowały? Coż by się stało ze mną? na cóżby mi wtedy były te dzieci, kiedybym ja ich kochać nie mogła. Jabym nie mogła być nawet dobrą dla męża, bo serce już wtedy we mnie musiałoby się stać kamieniem! Niech się dzieje wola Boża, powiedziałam sobie, widać Bóg już tak chce, abym nic przy sobie nie miała, co było sercem mojem — dzieci w niebie, on za morzami, za górami, gdzieś na kraju świata. Już dużo, dużo było lat upłynęło, gdy jego wzięli, a mnie za mąż wydali. Nastały inne caasy. Brat mój już był dawno dorósł i ożenił się na ojcowski grunt, nas spłacił i zamieszkaliśmy chatę Iwana — mój ojciec już nie żył — jego rodziców także pochowaliśmy. Przyszło darowanie pańszczyzny. Może komu było z tem dobrze, ale nam źle. Iwan, jak mówiłam pani, był jedynakiem, tj. że był jedynym synem, ale sióstr miał trzy. Dawniej to syn osiadał na gruncie, aby było komu z tego gruntu odrabiać pańszczyznę — a córki, a nawet i synowie młodsi „wianowali się“ i szli między ludzi z gruntu, nic nie biorąc. Córkom dawało się odzież, jeżeli było większe bogactwo, to i korale, sprawiało się wesele i na tem koniec. Synom młodszym kożuch, coś z bydła i także wesele. Po darowaniu pańszczyzny zaczęli dzielić grunta pomiędzy wszystkie dzieci. Siostry Iwana popodrastały właśnie na ten czas i trzeba było grunt podzielić na cztery części. Dwie z nich wyszły za mąż z chaty, trzecia do chaty. I już nie było spokoju: zła była i kłótliwa. Iwan sam wszystko od niej znosił, ale gdy słyszał, że mnie „odkazuje“, że się ze mną kłóci, to zaraz obstawał. Raz ją wybił, szwagier znowu kłócił się z nim za to i nie było już dobra w chacie.

Dzieci nie mieliśmy i zdawało się, że już i nie będą się nam chowały, bo po tamtych dwojgu, co to w jednym tygodniu pomarły, dał nam był pan Bóg znowu dziewczynę a do roku drugą, ale na to tylko, abyśmy je pochowali tak jak i tamte. Tak jak w rok jedna po drugiej przyszły na świat, tak też i w rok jednę po drugiej pan Bóg wziął.

Gdy już pochowaliśmy i drugą dziewczynę, tak Iwan powiada do mnie:

— Ustąpmy się szwagrowi i siostrze z oczu, oni dzieci mają — my ich nie mamy i mieć nie będziemy — wolimy w cudzej chacie spokój, jak we własnej kłótnie. Niech nam chatę spłacą, pole mamy oddzielone, pójdziemy tymczasem gdzie w komorne, a powoli postawimy sobie na swojem małą chatynkę, aby było na starość gdzie głowę złożyć!

Przystałam na to, wszystko mi jedno było, gdzie dokołatam smutnego życia, — wiedziałam, że pamięć mego Fedia pójdzie wszędzie za mną. Ułożyli się tedy szwagrowie między sobą i za kilka dni przenieśliśmy się — ot tu, do tej chaty poniżej pańskiego ogrodu.

Jakoś znowu w niedługim czasie dał nam pan Bóg syna — a śliczne to było dziecko! Gdy go już Małanka skąpała, Iwan wziął go na ręce siadł na mojem łóżku, zapatrzył się na dziecko, a potem kiwając głową, powiedział przez płacz prawie:

— Na co ty biedna wydała tyle zdrowia, kiedy on umrze tak, jak tamte pomarły!

Ile razy dziecię miało przyjść na świat, a myślałam, że to będzie syn, nosiłam się z myślą nazwania go najdroższem imieniem, a nigdy nie miałam odwagi żądać tego od męża — taki był dobry dla mnie! Teraz pragnienie to wzmogło się we mnie tak silnie, iż nie pomyślawszy, jak to Iwan przyjmie, zawołałam żywo:

— Nazwij go „jego“ imieniem, niech się to dziecko nazywa jak „on,“ a będzie żyło!

Iwan nie zrozumiał mnie z początku, nie wiedział może, o kim mówię — myślał pewnie, żem go już dawno zapomniała.

— Czyje imię mam mu dać? — zapytał.

— Fedia! — powiedziałam. Od wielu, bardzo już wielu lat nie wymówiłam głośno tego imienia, to też teraz, gdym je usłyszała, choć przez samą siebie wymówione, ścisnęło mnie koło serca i łzy trysnęły do oczu — zakryłam je ręką, aby Iwan nie widział, gdyż wiedziałam, żeby mu było ciężko patrzeć na nie, a nie miałam prawa i nie chciałam zadawać mu bolu. On taki był dobry, jak anioł! Położył dziecko koło mnie, pochylił się, pocałował mnie i nic nie mówiąc wyszedł. Wkrótce powrócił z kumami, wzięli dziecko i ponieśli do cerkwi. (C. d. n.)

POMYŁKA W DODAWANIU

POPEŁNIONA PRZEZ LEIBNITZA.

(Dokończenie.)

Błąd Leibnitza leży więc przedewszystkiem w tem, że Leibnitz do rozumowania swego nie użył, ale nadużył rachunku prawdopodobieństwa.

Prawda, że równe prawdopodobieństwo, iż jakakolwiek liczba niewiadoma całkowita (a więc i ilość nieskończenie wielka, jeżeli ją przyjmiemy za całkowitą) będzie parzystą lub nieparzystą, ale nie ma żadnego prawdopodobieństwa, żeby ta ilość niewiadoma, którą z góry za całkowitą przyjąć musimy, była ilością ułamkową. Gdybyśmy napisali pewną niewiadomą liczbę kółek i kresek naprzemian, to jest równe prawdopodobieństwo, że na ostatku wypadłoby nam kółko lub kreska, ale nie ma żadnego prawdopodobieństwa, żeby na końcu wypadł krzyżyk. Tak samo jest i z sumą szeregu, który tu mamy do dodania. Równe jest prawdopodobieństwo, że ta suma jest 1 albo 0, ale nie ma żadnego prawdopodobieństwa żeby była równą $^1/_2$, tak jak nie ma żadnego prawdopodobieństwa, żeby ta suma była równa 15, tak jak nie ma żadnego prawdopodobieństwa, żebyśmy z worka, w którym jest pewna liczba gałek czarnych i białych, wyciągając gałki po jednej i kładąc je napowrót, wyciągnęli kiedykolwiek gałkę żółtą. A gdyby było nawet jakieś prawdopodobieństwo, że tam gałka żółta znaleść się może, to równem prawem moglibyśmy na nią natrafić z początku jak na końcu, albo w środku poszukiwania, gdyby więc suma nieskończonej ilości wyrazów takiego szeregu mogła być równą $^1/_2$, to równem prawem mogłaby być równą $^1/_2$ suma 630, albo 90227 lub jakiejkolwiek innej liczby wyrazów.

Biorąc wartość przeciętną możebnych wypadków za sumę danego szeregu, Leibnitz zapomniał o tem, że taka wartość przeciętna przyjętą być może tylko wtenczas, jeżeli sama jest możebną. Wiadomo z mechaniki, że aby ciało jakie utrzymać, trzeba podeprzeć jego środek ciężkości, prawo to jednak ważne jest tylko w tym razie, jeżeli ten środek znajduje się w samem ciele. Jeżeli weźmiemy obręcz, której środek ciężkości jest w środku utworzonego przez nią koła i będziemy ją chcieli osadzić na kiju, to darmobyśmy się starali środkiem ciężkości oprzeć ją o koniec kija, bo środek obręczy jest pusty; musimy szukać w samej obręczy punktów z różnych stron środka ciężkości położonych i dopiero podparłszy te punkta utrzymamy obręcz, chociaż jej środek ciężkości bezpośrednio zupełnie nie będzie podparty. Zapomniał o tem Leibnitz i chciał rozwiązanie swoje oprzeć na środku ciężkości rozwiązań prawdopodobnych, ażeby stało niewzruszenie, ale nie spostrzegł, że w tym środku ciężkości nie było nic i że jego rozwiązanie runąć musi. W rachunku prawdopodobieństwa pojęcie wypadku *przeciętnego* czyli *średniego* od pojęcia wypadku prawdopodobnego tak rozróżniać należy, jak w mechanice pojęcie środka ciężkości od pojęcia punktu podparcia. Można brać często jedno za drugie, ale ktoby jedno za drugie chciał brać zawsze, toby się nieraz pomylił, chociażby nawet był Leibnitzem. Leibnitz w tym wypadku rozumował, tak jakby rozumował gracz, który widząc, że numera parzyste i nieparzyste mają równe szanse wygranej, chciałby postawić na numer ułamkowy, sądząc, że tym sposobem najpewniej wygra. Tymczasem przegrałby nieborak niezawodnie, ponieważ numerów ułamkowych zupełnie w kole loteryjnem nie ma.

Jakimże jednak sposobem wielu matematyków, a w ich liczbie tak znakomity uczony jak Lacroix, mogło przypuszczać, że zdanie Leibnitza, tak rażąco nieprawdopodobne, jest prawdziwem?

Stało się to poprostu z tej przyczyny, że panowie matematycy, którzy się bardzo pilnie zajmują sumowaniem szeregów, znają tylko i uznają za godne swego badania szeregi *zbieżne* i *rozbieżne*, to jest takie, których suma ma wartość skończoną lub nieskończoną, których wyrazy maleją lub rosną, a o szeregach, które nie są ani zbieżne ani rozbieżne, których wyrazy ani maleją ani rosną, nie myślą wcale, tak jakby ich wcale nie było.

Jeżeli powiemy matematykowi żeby podzielił jaką niewiadomą liczbę x^2 przez $x+1$, to tenże matematyk odpowie nam, że suma ta rozwinie się w szereg

$$x - 1 + \frac{1}{x} - \frac{1}{x^2} + \frac{1}{x^3} - \frac{1}{x^4} \ldots$$

ciągnący się do nieskończoności, że szereg ten będzie zbieżnym, jeżeli x będzie większe od 1 i suma jego będzie równa $\frac{x^2}{x+1}$, a jeżeli x będzie mniejsze od 1, to szereg będzie *rozbieżnym* i suma jego będzie równa ilości nieskończenie wielkiej ze znakiem dodatnym lub ujemnym. Tak naprzykład, jeżeli w powyższym wzorze założymy, że $x = 2$ to suma nieskończonej ilości wyrazów będzie równa $\frac{4}{3}$, jeżeli $x = 3$, to suma będzie $\frac{9}{4}$, jeżeli $x = 4$, to suma będzie $\frac{16}{5}$ itd. I rzeczywiście, jeżeli spróbujemy obliczać, to im więcej wyrazów będziemy obliczali, tembardziej zbliżać się będziemy do wskazanej granicy, której nie przekroczymy nigdy, z czego wynika prosty wniosek, że gdybyśmy liczyli do nieskończoności, tobyśmy dopiero otrzymali tę wartość, jaką nam

matematycy wskazują, czyli że to jest właśnie wartość nieskończonej ilości wyrazów szeregu.

Widząc że tak jest, cóż łatwiejszego jak powiedzieć, że wywód ten sprawdza się także wówczas kiedy x = 1, a jeżeli we wzorze

$$x - 1 + \frac{1}{x} - \frac{1}{x^2} + \frac{1}{x^3} - \frac{1}{x^4} \ldots = \frac{x^2}{x+1}$$

podstawimy x = 1, to otrzymamy:

$$1 - 1 + 1 - 1 + 1 - 1 \ldots\ldots = \tfrac{1}{2}$$

Hic jacet lepus! to jest właśnie pomyłka popełniona przez Leibnitza. Wszystkie powyższe sumy szeregów, w których braliśmy x większe od 1, były prawdziwe, bo te szeregi były zbieżne, wszystkie szeregi, w których weźmiemy x mniejsze od 1, będą rozbieżne, ale do tego szeregu wywód ten zastosować się nie da, gdyż to nie jest szereg zbieżny ani rozbieżny, gdyż tutaj x nie jest ani większe ani mniejsze od 1, ale właśnie równe jedności.

Przyznać należy, że w takich okolicznościach Leibnitzowi wcale nie trudno się było pomylić. Jeżeli jakieś prawo, jak powyższe, okazuje się prawdziwem choćby x tylko o jedną miliardową cząstkę było większem lub mniejszem od 1, dlaczegóż nie ma być prawdziwem jeżeli x jest dokładnie równe 1?...

Oto dla tego, że x^2 nigdy się przez x + 1 dokładnie podzielić nie da. W dzieleniu otrzymamy jako iloraz powyższy szereg, ale otrzymamy także pewną r e s z t ę. Ta reszta będzie naprzemian dodatnia albo ujemna, a zawsze będzie równą $\frac{x^n}{x+1}$ gdzie n wyraża liczbę wykonanych już działań, czyli otrzymanych wyrazów szeregu, pomniejszoną o 2. Otóż jeżeli x będzie choć o najdrobniejszy ułamek większe od 1, to ta reszta będzie coraz mniejsza, tak, że przypuszczając nieskończoną liczbę wyrazów można ją uznać za zero i pominąć, gdy x będzie choćby o najdrobniejszy ułamek mniejsze od 1, to ta reszta będzie coraz większa, i z tego powodu szereg otrzymany jako iloraz stanie się rozbieżnym, ale gdy x będzie równe 1, to ta reszta będzie zawsze jednakowa, raz dodatnia, drugi raz odjemna, i pominąć jej niepodobna, trzeba ją podzielić przez dzielnik i dodać do otrzymanego ilorazu ażeby otrzymać wartość $\frac{x^2}{x+1}$. Tym sposobem otrzymamy że

$$1 - 1 + 1 - 1 + 1 - 1 \ldots\ldots \pm \tfrac{1}{2} = \tfrac{1}{2}$$

a zatem, że suma naszego szeregu

$$1 - 1 + 1 - 1 + 1 - 1 \ldots\ldots = \tfrac{1}{2} \pm \tfrac{1}{2}$$

czyli że ta suma jest równą 1 lub 0, ma dwie równie prawdopodobne wartości a żadnej trzeciej mieć nie może, a zatem nie może być równą $\frac{1}{2}$.

Gdybyśmy się nie obawiali znużyć łaskawych czytelników, tobyśmy mogli podać jeszcze wiele innych matematycznych dowodów, że zdanie Leibnitza było błędne. Szereg $x - 1 + \frac{1}{x} - \frac{1}{x^2}$ itd. otrzymać można nietylko z podzielenia x^2 przez x + 1, ale także z podzielenia x^n przez sumę wszystkich potęg x mniejszych od n, a zatem zapominając o resztach z dzielenia, możnaby również algebraicznie p o z o r n i e udowodnić, że suma szeregu dodatnich i ujemnych jedynek jest równą nie $\frac{1}{2}$ ale $\frac{1}{3}$, $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{5}$, $\frac{1}{6}$ itd. Z każdego szeregu można stworzyć inny szereg, biorąc np. sumę dwóch pierwszych wyrazów, potem sumę trzeciego i czwartego itd. a suma szeregu się nie zmieni. Stosując to prawo tutaj, otrzymalibyśmy, według metody Leibnitza, że suma samych zer równą jest $\frac{1}{2}$. Słowem, na każdym kroku absurdum, do jakiego tylko pomyłka w rachunku doprowadzić może, a zatem w dodawaniu Leibnitza musiała być pomyłka, którą też powyżej wykazaliśmy.*)

Cóż z tego jednak wynika? zapytacie łaskawi czytelnicy, i będziecie mieli zupełną słuszność. Cóż z tego? Jeżeli Leibnitz się pomylił, jeżeli błąd jego wytykamy i staramy się sprostować, musimy mieć w tem cel jakiś. Jakiż to cel? Czy chcemy zwalić z piedestału sławy wielkiego męża i czy myślimy sami się drapać na ten piedestał? A brońże Boże! Ta pomyłka w dodawaniu bynajmniej nie ubliża wielkości słynnego filozofa, dowodzi ona tylko, że ten filozof był człowiekiem i mógł się mylić, nasz też artykuł nie miał innego celu prócz udowodnienia przykładem, że i geniusze mylą się niekiedy, nawet w rzeczach najprostszych, takich jak dodawanie, i że im znakomitszy mąż popełni taką pomyłkę, tem dłużej ona trwa, tem trudniej ją dostrzedz i wykazać, bo blask jego imienia olśniewa tych, którzy pragną się bliżej przyjrzeć przedmiotowi. Jesteśmy też pewni, że pomimo, iż wywód nasz niniejszy jest matematycznie dokładnym, nie u wszystkich jednak czytelników znajdzie on zaraz wiarę, bo niejednemu trudno będzie przypuścić, żeby się wielki Leibnitz mógł pomylić w dodawaniu, i żeby na wyświecenie tej jego pomyłki potrzeba było czekać 160 lat po jego zgonie, aż o tem jakiś mały naukowy dyletant nie w żadnem piśmie akademickiem lecz w tygodniku literackim pobieżny artykuł napisze.

Kraków 7go czerwca 1877 r.

Wł. Sabowski.

*) Jeszcze jedno takie absurdum, wynikające z twierdzenia Leibnitza, jako bardzo charakterystyczne, choć w przypisku podać musimy.

Niech będą dwa szeregi nieskończone perjodyczne:

$$2 - 1 - 1 + 2 - 1 - 1 + 2 - 1 - 1 \ldots$$
$$1 + 1 - 2 + 1 + 1 - 2 + 1 + 1 - 2 \ldots$$

Sumy tych szeregów, licząc sposobem Leibnitza, byłyby równe 1, bo suma każdego może być równie prawdopodobnie 1, 2, albo 0, przeciętna zaś tych trzech liczb jest 1. Otóż w pierwszym szeregu suma 1 wypaść może tylko wówczas, jeżeli weźmiemy wyrazów $3_n + 2$, zaś w drugim szeregu suma taka wypadnie jeżeli weźmiemy wyrazów $3_n + 1$. Z tego wynika, że przyjmując zdanie Leibnitza musielibyśmy uwierzyć, iż biorąc coraz większe liczby całkowite i dzieląc je przez 3, znaleźlibyśmy kiedyś taką liczbę całkowitą, któraby podzielona przez 3 dać mogła resztę 2 oraz resztę 1. Zupełnie to jest toż samo co przypuścić, że jeżeli w nieskończonym przebiegu czasów ciągle wtorek następować będzie po poniedziałku, środa po wtorku, czwartek po środzie itd. to przyjdzie nareszcie taki dzień, który będzie jednocześnie piątkiem i czwartkiem albo też niedzielą i środą. (Przyp. aut.)

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY

w przedrewolucyjnym okresie

XVIII stulecia.

przez

DRA BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Chcąc wydać prawdziwy sąd o koniecznych reformach — mniema Mably — należy sięgnąć do samego źródła zła**). Poddaje więc surowej krytyce porządek, istniejący w Polsce. Najważniejszą w niej potrzebą jest podnieść stan mieszczański i wydobyć włościan z niewoli. Nieszczęścia, dotykające Polskę, należy uważać jako karę za to, że ta pogwałciła prawa przyrody, nie obchodząc się z wieśniakami po ludzku. Dawszy im wolność, miałaby w nich obrońców; teraz może są jej wrogami, i jeżeli nie są otwarcie nimi, to należy przypisać to tylko zbydlęceniu, do jakiego doprowadziły ich ciemnota i nadmiar niewoli. Byłoby też rzeczą bardzo pożądaną, ażeby mieszczanie uważali Rzeczpospolitą za swoją ojczyznę, gdyż przy ich tylko pomocy szlachta zdoła uwolnić się od jarzma, jakie rozciągnęli nad nią żydzi, ci bowiem stali się prawdziwymi panami w Polsce**). Podniesienie mieszczaństwa w Rzeczypospolitej może wytworzyć w niej trzeci stan, przeznaczeniem którego jest, by wszędzie stanowił wielkość i sławę narodów. Nadając prawo własności ziemskiej żydom, możeby się udało wstrzymać ich od obrzydliwej lichwy; to pewna jednak, że będą oni wrogami szlachty dotąd, dopóki źródłem ich mienia będzie przemysł*). Autor, wychodząc z zasady, że niepodobna od razu usunąć wszystkich nadużyć, doradza powolne reformy, albowiem rozwój stopniowy zapewnia państwu więcej siły. Najlepiej uściela się droga do reform szerzeniem oświaty. Pora wreszcie, ażeby filozofia przeniknęła do Polski i wygnała z jej uniwersytetów nędzne nauki, które są niebezpieczniejsze od samej ciemnoty. Wszystkie prawa powinny rozwijać miłość ojczyzny, ponieważ ona to tworzy prawdziwych bohaterów. — Nad dalszemi uwagami autora, które dotyczą reform politycznych i pod wielu względami są słuszne, zastanawiać się nie będę, albowiem obchodzi mię tu głównie geneza wielkich kwestyi społecznych, lubo Mably zajmuje się przeważnie pierwszemi a ostatnie tylko pobieżnie potrąca, nie poświęcając im nawet osobnego rozdziału.

Konstytucya polska wzbudza w autorze „Umowy Społecznej“ pod wielu względami szczere podziwienie; radzi więc ją polepszyć, lecz nie zmieniać, tembardziej, że tak samo jak i Mably nie pochwala gwałtownych reform, a nadto jest przekonany, że wszelkie instytucye wówczas tylko są dobre, gdy się stosują do charakteru narodowego. Potęga Rzeczypospolitej powinna spoczywać przedewszystkiem na cnocie obywatelskiej,

**) Mably — Oeuvres complétes. T. VIII. Paris, 1797. Du Gouvernement et des loix de la Pologne à m. le comte Wielhorski.

*) W obec często odnawiającej się kwestyi żydowskiej, uważam za właściwe przytoczyć to, co pisze w tym względzie Mably: „Si on m'a fait, monsieur le comte, une relation fidéle, ce n'est point la noblesse, ce sont les juifs qui sont les maitres de la Pologne. Vous êtes devenus les tributaires de leur avarice et de leurs usures. Ils vous ont forcés à ne pouvoir plus vous passer d'eux. Ils ont habilement profité de la stupidite grossiére ou vous avez jeté votre peuple, pour se rendre nécessaires. Ils abusent de vos besoins et de votre ignorance pour s'enrichir à vos dépens. Ils sont vos ennemis, ils vous abandonneraient si vous n'étiez leurs dupes; et sans que vous en doutiez, ils vous punissent cruellement des injustices fréquentes, que vous leur faites éprouver. — Il serait très-facile de faire voir, de la maniere la plus évidente, combien la république deviendrait en peu de temps puissante et heureuse, si elle intéressait à son sort les bourgeois, les paysans et ces juifs dont je viens de dire tant de mal. On démontrerait à la noblesse qui posséde toutes les terres, que sa fortune augmenterait considérablement, s'il etait permis aux bourgéois et aux juifs même d'avoir des possessions, de vastes terrains, aujourdhui inutiles à leurs possesseurs, donneraient de nouvelles richesser à la république. Str. 113 i 114.

**) Ce n'est que par leurs (mieszczan) secours que vous parviendrez à secouer le joug de vos juifs, à qui vous devriez peut-être permettre de posseder des terres pour les corriger de leurs usures abominables. Tant que ce peuple errant n'aura pour fortune que son industrie, il sera votre ennemi. Str. 156.

na gorliwości patryotycznej i na formie narodowej instytucyi; to są szańce, których nie zdobędzie żadna armia. Najważniejszym w tym względzie środkiem jest wychowanie; powinno ono być nawskróś narodowe: historyą, geografią, prawa ojczyste należy znać dokładnie. Autor zachwala zwyczaj, praktykowany w Bernie pomiędzy uczniami tamecznych szkół: tworzą oni pomiędzy sobą organizacyą, naśladującą urządzenia państwowe; zabawa ta przyczynia się do kształcenia przyszłych mężów stanu. Jako radykalną wadę państwa uważa jego rozległość; jest bowiem zwolennikiem rządów federacyjnych, które — podług niego — łączą korzyści wielkich i małych państw. „Rzeczpospolita polska — często mówiono i powtarzano — składa się z trzech stanów: stanu rycerskiego, senatu i króla. Powiedziałbym raczej, że naród polski składa się z trzech stanów: szlachty, która jest wszystkiem; mieszczan, którzy są niczem; oraz włościan, którzy są mniej niż niczem *)“. Polacy teraz pokutują za to, że najliczniejszą a często i najzdrowszą część narodu pozbawili opieki prawa, i dopóty nie będą swobodni i szczęśliwi, dopóki braci swoich trzymać w więzach nie przestaną. Usamowolnienie jednak ludu powinno się odbyć powoli i ostrożnie. Miejską ludność wypada uszlachcić. Rousseau podaje nawet plan stopniowego uwolnienia włościan i uszlachcenia miast. Pragnie przytem praw, któreby prowadziły do większej równości majątkowej. Nie radzi uganiać się za potęgą i blaskiem, lecz raczej starać się o wolność i szczęście narodu. Zamiast powiększenia wojska regularnego, wolałby, ażeby utworzono milicyą na wzór szwajcarskiej. Twierdze — podług niego — prędzej lub później stają się wszędzie gniazdami tyranów; tarczą zaś prawdziwą jest tylko patryotyzm, — ten ostatni zatem należy rozwijać i kształcić.

Sprawa podniesienia stanów upośledzonych żywo zajmuje umysły w Polsce w XVIII stul.

Szło u nas w tym względzie o tyle trudniej, że na nasze nieszczęście prawie nie mieliśmy stanu miejskiego **). Miejsce jego zajęli cudzoziemcy, a głównie żydzi, którzy nie połączeni z narodem żadnymi ścisłymi węzłami, mieli tylko na oku własny interes, wcale się nie troszcząc o Rzeczpospolitą. Żydzi, z powodu swej religii i organizacyi społecznej, stanowili taką odrębność od włościan, że niemożliwem czynili przechodzenie tych ostatnich do stanu miejskiego, jak się to działo we Francyi i Niemczech. Podług praw cesarstwa niemieckiego, miasta wprawdzie nie mogły nadawać obywatelstwa wieśniakom poddanym (Leibeigene oder Hörige); ale bardzo wiele miast uzyskało przywileje cesarskie, na mocy których pan nie mógł żądać wydania chłopa zbiegłego, jeżeli ten przebył w mieście rok i dzień jeden. Z powstaniem przedmieść i stanu półmieszczan (Pfahlbürger, Beisassen), miasta jeszcze bardziej zaczęły garnąć do siebie włościan. Stawały one nieraz świadomie w ich obronie. W Polsce także miasto Poznań 1733 r. dało pierwszy przykład zniesienia poddaństwa, przyznało ono kmieciowi zupełną swobodę osobistą, zachęcając nadto synów młodszych, by brali się do zarobku rzemieślniczego. Tam, gdzie miasta były liczniejsze, gdzie przemysłowa czynność rozwijała się znaczniej, jak w Wielkopolsce; tam i włościanie odznaczali się wieksza zamożnością, pracowitością a nawet uczciwością.

Brak stanu miejskiego przeszkodził w Polsce wyrobić się prawnie trzeciemu stanowi, gdyż drobna a bardzo liczna szlachta zagrodowa, która wbrew zdaniu Leszczyńskiego, nie sądziła ignominiosum imieniowi szlacheckiemu służyć równemu sobie, in aequalitate się urodziwszy, wprawdzie de facto zajmowała wszystkie stopnie, prowadzące od poddaństwa chłopskiego do urodzonych dziedziców; lecz posiadając te same prawa w teoryi, co i najznakomitsze rodziny, a czując się przytem liczebnie wielowładną, nie potrzebowała szukać sprzymierzeńców w uciśnionych klasach. W innych krajach stan trzeci stawał się rzecznikiem praw przyrodzonych, czynił to z tem większym zapałem, ile że sam bezpośrednio był w tem zainteresowany. Wprawdzie, w Polsce był stan jeden, mianowicie duchowny, do którego, lubo bardzo ograniczenie, dostawały się żywioły nieszlacheckie; ale nader nieliczne, tonęły wśród innych i rychło przejmowały się interesem nowego swego stanu. Pomimo to, z pośród duchowieństwa dość często odzywały się głosy w obronie włościan; zachowali w tym względzie dobrą po sobie pamięć: Bonawentura Gelarowski; Jan Zrzelski; Marcin Kurzeniecki; Michał Karpowicz, słynny z kazań jubileuszowych w 1773 r. w Wilnie; Konarski, który założył szkołę rzemieślniczą w Opolu; Krzysztof Kluk, z urodzenia mieszczanin z Ciechanowca; Grzegorz Piramowicz, cnotliwy proboszcz w Kurowie, oraz wielu innych księży, którzy byli nimi raczej z imienia jak z powołania, jak n. p. Kołłątaj, Jezierski, Dmochowski, Staszic i t. d.

Dzieło Stanisława Leszczyńskiego: „Głos wolny wolność ubezpieczający“ (1733 r.) stawia u nas — rzec można — na porządku dziennym w XVIII stul. kwestyą włościańską. Ludzki król poświęca jej osobny rozdział p. t. „Plebei“ i przedstawiając szlachcie niesprawiedliwość niewoli pospólstwa zapytuje: „Co czyni fortuny i subtancye nasze? jeżeli nie plebei prawdziwi nasi chlebodawcy, kiedy grzebią dla nas ustawicznie w ziemi, i skarbów dobywając. z ich roboty nasze dostatki, z ich pracy obfitość państwa, z ich handlów commercia, z ich roboty nasze wygody. Oni ciężar podatków znoszą, oni wojska rekrutują, oni nas na ostatek we wszystkich pracach zastępują; tak dalece, że gdyby chłopstwa nie było, musielibyśmy się stać rolnikami, i jeżeli kogo wynosząc mówimy: Pan z panów, słuszniejby mówić: pan z chłopów“ *). „Nie wiem jakiem sumieniem w państwie chrześciańskiem lud pospolity traktujemy jako niewolników, nie kontentując się tem, że są poddani, co jest rzecz słuszna, będąc bez wątpienia obligowani do pewnych powinności?“ „Mało na tem, że sobie z pospólstwem postępujémy przeciwko sumieniu, ale oraz przeciwko dobrej polityce. Czytajmy w historyi rzymskiej, do jakich rewolucyj wiolencye patrycyuszów przywiodły pospólstwo; ale mamy w domu przykład z ukraińskich buntów, do których opresye dziedziców dawały okazyą; może — uchowaj Boże — ta zaraza ogarnąć całe państwo, gdyż nic naturalniejszego człowiekowi, jako zrzucić z siebie jarzmo i wybić się z niewoli, kiedy może“ [1]). Dalej przedstawia autor, że niewola chłopska jest przyczyną ubóstwa kraju, gdyż nikt „nie myśli przy swojej biedzie sposobić się do żadnej industryi w ekonomii,“ ani do żadnych kunsztów w rzemiosłach; pracując ustawicznie pod kijem, nie robi nic z ochotą, będąc zwłaszcza pewien, że i to coby zarobił, nie jego; i choćby który miał z natury jakie talenta, nie ma ani serca, ani czasu zażyć ich proficue, nie myśląc tylko o tem żeby się stał wolniejszym [2])“ Stara się także przekonać, „że dawszy chłopu grunt, (t. j. oddawszy na czynsz) a przy nim wolność wszelaką i nie obciążając go żadnemi robociznami, z tego gruntu więcej będzie miał posesor pożytku, niż ten, który mu zwyczajnie przynosi.“ [3]) „Dowodem tego wsie w niektórych naszych prowincyach tym sposobem osadzone, wolne od wszelkiej robocizny; jaka w nich różność od tych, gdzie ten tryb zwyczajny gospodarstwa przy uciemiężeniu poddaństwa postanowiony [4]).“ Mając to na względzie, koronowany publicysta zaleca, ograniczać dowolność sądów dymisyalnych (jura dymisyi) i pozwolić plebejom osiedlić się tam, gdzie zechcą. Sądy dziedzica nad poddanym „nie powinnyby być tylko *primae instantiae*, z których żeby apelować się godziło do sądów grodzkich i trybunału. które są subsellia, władzę Rzeczypospolitej reprezentujące, ponieważ ta sama ma *jus gladii et potestatem definitivam* w sądach.“ [5]) Wolność przenoszenia się włościan z miejsca na miejsce byłaby bardzo korzystna dla kraju. „Takie privilegium pospólstwa uczyniłoby kraj daleko osiadlejszy, kiedyby wolno było osadzać się pospólstwu na tak siła pustych gruntach; gdyż to dziwna, że się nad tem nikt nie reflektuje, zkąd tak wielka kraju naszego dezolacya, lubo jest rzecz oczywista: dlatego, że w jednej wsi będzie więcej pospólstwa niżeli gruntu do wyżywienia go, a w drugiej więcej gruntu niż ludzi.“ [6]) Bez zniesienia niewoli pospólstwa nadaremne będą wszystkie trudy i starania około naprawy Rzeczypospolitej. „Lud pospolity *in statu* co jest innego, tylko nogi albo raczej pedestał, na którym stoi i buduje się Rzeczpospolita, i który jej onera dźwiga? Jeżeli ten pedestał będzie gliniany, cała *moles* na nim się wspierająca upadnie.“ [7]) (C. d. n.)

*) Str. 269. Collection compléte des oeuvres de J. J. Rousseau, Citoyen de Genéve. Genéve MDCCLXXXII. T. II. Considérations sur le gouvernement de Pologne et sur sa réformation projettée.

**) Nie podzielam w tym względzie dość upowszechnionego u nas zdania (Mochnacki, Libelt, Sienkiewicz, Bartoszewicz), że w Polsce nie było wielkiego społecznego rozgraniczenia pomiędzy stanami (szlacheckim i włościańskim) i to właśnie brakiem stanu miejskiego.

*) Głos wolny wolność ubezpieczający. MDCCXXXIII Str. 100. Jest także wydanie Turowskiego, Kraków, 1861 — tam str. 101.

[1]) Wyd. Turowskiego, str. 102.
[2]) Tamże, str. 103.
[3]) Tamże, str. 105.
[4]) Tamże, str 106.
[5]) Tamże, str. 104.
[6]) Tamże, str. 105.
[7]) Tamże, str. 107.

MARYA DERYNG
w Krakowie.

(Dokończenie).

...„A czyliż my często nie jesteśmy także niewolnikami życia?... Dotąd było mi ono uśmiechem, dziś zachodzi łzami, które nawet nie skrzepną w brylanty dobrych uczynków. Rozwieją się jak mgła lub westchnienie, wyschną jak rosa i nie zostawią po sobie nic — nic, prócz smutnych wspomnień i zmiętego boleścią serca...

„A jednak kochać trzeba...“

Tego rodzaju długim monologiem wita Łu-

cya w „Pojedynku szlachetnych“ zgromadzonych widzów.

Dyrektor teatru krakowskiego, St. Koźmian, powiedział autorowi przeglądając „Pojedynek“:

— Czyż pan znajdziesz artystkę, którąby mogła wypowiedzieć ten monolog? Tyleś pan w nim nagromadził trudności, że ich prawie niepodobna pokonać.

Autor nie znał jeszcze tajemnic sztuki i możliwości ludzkiej w monologach smutnych — przeplatanych śpiewem, natchnieniami, oczekiwaniem i wybuchem radości. Autor nie wiedział o tem, iż należy artystce dać na początku przedstawienia czas oswoić się ze sceną, publicznością i własną pozycyą, dać możność zoryentować się, odetchnąć i przygotować do dalszej akcyi. Skorzystał więc z rady i monolog został skrócony.

W Warszawie go nie skrócono. Artystce nie zabrakło sił, głosu, bo te ma do zbytku, lecz niepodobna jej było nagromadzić w jednem miejscu i czasie tyle światła i cieni, i tyle tonow w odśpiewaniu melodii tęskniącego serca Lidyi, za co autor przeprasza artystkę.

Jeżeli ją przeprasza za monolog, to najserdeczniej dziękuje za dyalog sceny drugiej między Juliuszem a Lidyą.

W płóciennej sukience przepasana czerwoną szarfą, ubrana w czerwone wstążki młoda Angielka, szczęśliwa i zakochana, szczebiocze, skarży się, tęskni i wzdycha, gniewa się i śmieje. Miłość i szczęście tryska jej z oczu, z każdego ruchu, dźwięku głosu i pieszczoty, której nie można dojrzeć, lecz za to przeczuć. Atmosfera radości i szczęścia wydobywająca się z serca artystki upajała nas. Wyrazy komedyi były tylko słabym akompaniamentem, albo raczej narzędziem do wygrania serenady miłości, z naiwnością dziewczęcia, które pierwszy raz kocha, z serdecznością szlachetnej duszy i gracyą wielkiej damy.

Duma autora, lub lepiej jego zarozumiałość, jeżeli ją miał, zmalały do niedojrzanych rozmiarów. Nie marzył o takiej Lidyi, jaką zobaczył. I smutno mu się zrobiło, albowiem przekonał się, że sława jego jest i będzie zawsze na łasce artystów. On tylko markuje charaktery i typy — artyści je tworzą, on tylko zaznacza sytuacye, artyści je wyzyskują. I to mu tłumaczy, dla czego w jednem mieście jedna i ta sama sztuka upada, w drugiem cieszy się świetnem powodzeniem.

Wolno mi było zamyśleć się, gdyż Juliusz zaprowadził swoję panią nad brzeg jeziora, „aby tam rozważać o ile lazur jej oczu, jest głębszy od wód niebieskich.“

Wracają z przechadzki, pierwsze upojenie radości minęło, przychodzą refleksye, i chociaż miłość nic nie traci na swej mocy, obawa, może o jej utratę, robi młodą dzieweczkę więcej poważną, smutną, rozciekawioną, usiłującą tylko odgrywać rolę naiwnej. To usiłowanie gry, niepewność, smutek i miłość zmięszana z przestrachem wydobywającym się przez przyspieszone tętna serca w drżącym głosie, było arcydziełem prostoty i wdzięku, swobody, przestrachu o przyszłość i zaambarasowania się z nienaturalnej pozycyi.

Lordowie przerywają schadzkę, a na najwięcej uroczą chwilę z komedyi — wyszedłem. Żal mi było Lidyi, nie z komedyi, lecz Lidyi widzianej na scenie, tego zakochanego dziewczęcia któreby rade było wielkość swego rodu i bogactwa, oddać za jeden uśmiech ukochanego.

Zdawało mi się dawniej, że bohaterka „Pojedynku“ nie jest prawdziwą, sądziłem, że za dużo w niej sentymentalizmu, i może za dużo sprzeczności nieusprawiedliwionych. Artystka pogodziła mnie z samym sobą, uwierzyłem w Lidyą, i gdybym nie bał się być śmiesznym, napisałbym, żem się zakochał w własnym utworze.

W drugim akcie Socock usnął, ukazuje się Lidya, a po chwili wchodzi Juliusz.

Od jednego spojrzenia artystów czuć chwilę stanowczą, poznałem od razu, że Lidya nie jest już zakochaną, bojaźliwą dzieweczką, lecz kobietą upominającą się o swe prawa, walczącą w imię najszlachetniejszych uczuć i poświęcenia.

...„Moje poświęcenie odsuwa cię odemnie. Uciekasz, porzucasz mnie, jak osobę godną pogardy. Jakże nią nie gardzić, gdy imię jej, niestety, zapisane jest na kartach historyi? Jakże nią nie gardzić, gdy fatalizm narzucił jej miliony? A mimo to, miała ona odwagę... Nie — nie, ona była tylko tyle szczęśliwą, że poznała szlachetnego człowieka, i tyle biedną, że go pokochała! Więc zdeptać ją za to i odepchnąć!“

Frazes zdaje się dość zwyczajny, na który mogłaby się zdobyć nie jedna szlachetna kobieta, lecz wypowiedziany z tą intonacyą głosu, z tym szlachetnem oburzeniem, ironią, graniczącą z obawą utraty i uwielbieniem. I nareszcie ten wykrzyknik rozpaczy, żalu i miłości, zatamował nam bicie serc, aby tem silniej uderzyły.

Zwyciężyła, „bo czemże byłby dla niej świat cały bez jego spojrzenia....“

Autor „Listów o Galicyi,“ pisząc krytykę „Pojedynku Szlachetnych“ — jestem pewny, że zbyt pochlebnie wyraził się o Lidyi — mówiąc: „jest w niej coś z Ossyana i coś ze Shakespeara *)....“

Mogłem się domyśleć, co jest ze Shakespeara, lecz pomimo przypuszczam wielkiej zarozumiałości literackiej, nie byłem w stanie pojąć co może być z niej z Ossyana. W trzecim akcie panna Marya stworzyła mi Ossyanowską Lidyą.

Wchodzi córka Lorda Brougham, która „nie przyszła upominać się za krzywdy swoje, bo nie ma tego, ktoby je mógł jej wyrządzać.“ „Przychodzi po wyjaśnienia“ zimna i dumna z czołem podniesionem w górę. Wyniosła, gdy jej wymawiając sieroctwo i zobowiązania względem niej, pod ciepłem wspomnień, pod ciepłem uczucia, zimno topnieje, i z po za tego zimna wyłania się legendowa dzieweczka, półbogini, pół-kapłanka, dla której kochać i cierpieć stanowi jednoznaczne uczucie. „A więc niech jedzie,“ powtarzane parę kroć razy, a zawsze z odmienną modulacyą i drżeniem głosu...

„Niech jedzie! Po cóż odrazu tyle rzuciłeś czarnych myśli w mą duszę i tak nielitościwie stargałeś biedne serce?... Niech jedzie, a jadąc niech zabierze spokój Lidyi i uśmiech jej szczęścia. Niech jedzie i niech zostawi za sobą pustkę nicości, której nawet nie potrafimy zapełnić tęsknotą... Czyż cisza nie jest szczęściem? I dlaczegoś zakłócił tę jedyną ciszę biednego szczęścia ludzkiego — targając serce? Za co? Ha niech jedzie!...“ Wybucha płaczem, a w teatrze cisza, ludzie spoglądają po sobie zdumieni. Artystka przypomniała im znajome postacie, które widzieli w dobrych snach swoich, gdy rozburzona fantazya śpiewem mistycznego barda, tworzyła im typy zamierzchłe w przeszłości, owiane urokiem tęsknoty, na tle dzikich krajobrazów i szumu morza.

Płacz jej i rozpacz przy opowiadaniu Peggy wzbudzają zazdrość i żal, albowiem nie wierzymy, abyśmy mogli być tak serdecznie kochani, i z taką boleścią żałowani. Gra doszła do szczytu, zostałem powtórnie upokorzony, gdyż nigdy nie marzyłem, aby z luźnego szkicu można było stworzyć postać o tak szerokiej skali i tak czarującą wdziękiem i uczuciem. I tu znów zmuszony jestem powtórzyć, że los pisarzy trzymają w swych rękach artyści.

Jeszcze jedna scena. Akt 4ty, Lidya sama, muzyka gra cicho rytm walca, dzieweczka zadumana mówi głośno z własnem sercem, słucha jego bicia, skarży się przed niem i zapytuje: „Co ja w nim (w narzeczonym) ukochałam — wszystko to, co drzemało na dnie mego serca.“ Oto jest tajemnica miłości szlachetnej kobiety. Kochała w młodym człowieku skarby złożone na dnie własnego jej serca. Wchodzi narzeczony i w scenie tej odbywa się walka z własnem sercem i jego skarbami, zakończona wybuchem serdecznego płaczu. Patrząc na tę scenę nie uwierzyliśmy w prawdziwe łzy.

Po tym opisie jakież mogą mieć znaczenie górnolotne apostrofy.

* * *

„Frou-frou“ zwyczajny dramat szkoły francuskiej. Nie ma w nim nic nowego. Historye dawno obrabiane i wyczerpane przez wielu pisarzy francuzkich. Najwięcej przypomina treścią i obrobieniem Dumasa syna i Sardou, odznacza się jednak zręczną budową, ożywioną akcyą, życiem, i ma w sobie popisową rolę, dla artystki znającej tajemnice trzpiotowactwa posuniętego do naiwności, kokieteryi posuniętej do nieświadomości i refleksyi objawiającej się przez zazdrość — uniesienia, wybuchy miłości, żal, skruchę i śmierć.

Rola wymaga wiele wdzięku, elegancyi, dużo wprawy, sztuczek wyrachowanych na efekta i nieporównanej swobody młodej kobiety, której atmosferą są salony, celem życia zabawa, a rozkoszą stroje, tańce i w wirze drobnych uciech zabicie czasu.

Upamiętanie się nie płynie z konsekwencyi charakteru, lecz z potrzeby stworzenia dwóch następnych aktów, wywołania nowych efektów, dla gry dobrej artystki.

W pierwszych scenach czuć było, że artystka radaby się bawić całą duszą, z upojeniem młodości, z zapomnieniem o jutrze, ale ponieważ tak mało się w swem życiu bawiła, pomimo całego wdzięku i uroku, nie miała tej swobody, po prostu wprawy. Była wybornie trzpiotowatą, ale za mało rozpieszczoną... Dopiero w chwili reakcyi, od połowy trzeciego aktu, artystka staje na właściwym gruncie, talent jej rozwija się w ulubionym jej kierunku porywów serca, uniesień i rozpaczy....

Sympatyczna to postać owo „Frou-frou,“ tem sympatyczniejsza o ile umie czuć upadek, o ile umie boleć, kochać, przebaczać i korzyć się. Artystka nasza potrafiła to drugie lepiej, jak szaleć w zabawie i życiu bez celu.

* * *

Biedny nasz kraj, lecz gleba jego żyzna, bo nie brak nam ludzi, którym duchy skrzydła na ramionach kładą... Gdyby tylko jad zazdrości, zawiść i złość, ograniczenie i próżność nie kąsały tych, którzy idąc naprzód trzymają pochodnie w ciemnościach.

Cóż zresztą obchodzi tych, którzy idą na-

*) Listy o Galicyi str. 161.

przód, zawiść lub złość nędznych i małych. Oni idą naprzód, bo iść muszą słuchając szeptu duchów, co im na ramionach jako łabędzie zadumane siedzą.

Dajcie im tylko trochę ciszy, wejścia w siebie, odpoczynku, aby:

„Wszystkie uczucia gwałtownemi loty,
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w niem obmywać pióra."

Szczurowa d. 7go lipca 1877 r.

Sewer.

HOMERA ILIADY PIEŚŃ VI.

Pożegnanie Hektora z Andromachą.

Dalszy ciąg walki. Szczęście po stronie Achiwów. Helenos nakłania Hektora, aby się udał do miasta i polecił Hekubie błagać Ateny o ratunek Troi. Glaukos i Dyomedes występują do walki, poznają się jednak jako przyjaciele gościnni, i pomieniawszy się zbroją, rozchodzą się w zgodzie. Hektor spełnia polecenie Helenosa. Hekuba wraz z innemi matronami trojańskiemi prosi Ateny o zmiłowanie, ale nadaremnie. Hektor udaje się do mieszkania Parysa i nakłania go do wzięcia udziału w walce, poczem spieszy pożegnać się z żoną swoją Andromachą; następnie udaje się z Parysem na pole walki.

(*Ciąg dalszy*).

Wręcz mu na takie słowa rzecze Glaukos śmiały:
„Cóż o ród mię tak pytasz, Tydydo zuchwały?
Śmiertelni mają z liśćmi jednakie koleje:
Z tych jedna część opada, inna zielenieje,
Okraszając drzewinę, gdy wiosna nadchodzi.
Tak ludzie: jeden ginie, a drugi się rodzi.
Lecz jeżeli cię żądza ciekawości pali,
Słuchaj, powiemć, czem moje przodki się parali:
Jest gród w pośrodku Argos, Efirą nazwany,
Tam żył Syzyf — w chytrości dotąd niezrównany —
Syzyf, zwan Eolidą. Od niego pochodził
Glaukos; z tego się dzielny Bellerofon zrodził.
Bogi mu nie szczędziły męztwa, ni urody,
Lecz Projtos go z ojcowskiej wypędził zagrody
I z kraju. Łacno na ten postępek się ważył,
Skoro go Zeus największą potęgą obdarzył.
Żona Projta, Anteja, szalała z miłości
Ku synowi Glaukosa, lecz — bez wzajemności,
Wzgardzona, srogiej zemsty w duszy zapragnęła
I z takowem oszczerstwem przed mężem stanęła:

„Projcie, zginiesz, lub zginąć Bellerofon musi,
Co mię do wiarołomstwa ustawicznie kusi."

Te słowa gorzkim jadem wpiły mu się w serce,
Wżdy własną ręką zabić nie chciał przeniewiercę,
Więc na śmierć go wyprawił do likskiej ziemicy,
Wyrywszy straszne głoski na małej tablicy
Dał mu ją do wręczenia swojemu teściowi.
Olimpianie sprzyjając Bellerofontowi,
Zawiedli go szczęśliwie bez żadnej przygody
Do Likyi, kędy Xantos swe roztacza wody.
Tam gościł go dni dziewięć likijski władyka,
Z dniem każdym na ofiarę rznąc jednego byka.
Lecz gdy błysła dziewiąta jutrzenka różowa,
Zapytał, gdzie tablicę od Projtosa chowa,
Odczytawszy zaś pismo, zgubę dlań gotuje:
Nasamprzód mu Chimerę zabić rozkazuje:
Był to potwór z boskiego nie ludzkiego rodu,
Smok z tyłu, koza w środku, straszne lwisko z przodu!
Z nozdrzy zaś i z paszczęki zionęła płomieniem.
Wżdy zmógł ją; — bogi swojem strzegli go ramieniem.
Następnie w krwi Solimów ostry dziryt broczył;
Był to bój najzaciętszy, jaki w życiu stoczył.
Wreszcie i Amazonek przemógł harde plemię.
A gdy potem powracał na likijską ziemię,
Znów na zdradę natrafił groźną swemu życiu,
Albowiem władca Likyi osadził w ukryciu
Najtęższe bohatery, by go sprzątnąć z drogi.
Lecz z nich żaden nie wrócił w swe domowe progi,
Z wszystkimi Bellerofon uporał się snadnie.
Tóż kiedy się teść Projta przekonał dosadnie,
Że mu bogi sprzyjają, zatrzymał go w kraju,
Wydał zań swoją córkę i według zwyczaju
Dał mu połowę władzy i królestwa swego,
A lud Lików w naddatku kęs gruntu ornego,
Tak piękny, że aż roskosz patrzeć na te niwy!
Miał zasię troje dzieci ów heroj szczęśliwy:
Isandra, Hipolocha i Laodameję.
Z tą dzielił łoże Kronion, co gromem jaśnieje,
Poczem boski Sarpedon ujrzał światło dzienne.
Zraził on jednak sobie istoty nadziemne,
Więc przed oczyma ludzi szukając ukrycia
Na równinie alejskiej spędził resztę życia.
Isandra zabił Ares krwi śmiertelnych chciwy,
Kiedy z Solimidami staczał bój straszliwy.
Owę zaś Artemida sprzątnęła ze świata.
Mnie zrodził Hippolochos, a kiedym wzrósł w lata,
Kazał mi iść z pomocą do grodu Pryama,
Zlecając, by na czci mej nie postała plama,
Bym nie zhańbił pamięci zacnych antenatów,
Co wszędzie za najlepszych uchodzili chwatów.
Takiej krwi jam potomkiem, z takiegom wzrósł drzewa!"

Na to się twarz Tydydy radością oblewa,
Więc wbiwszy oszczep w ziemię rzuca nań spojrzenie
Łagodne i tak woła:

„Jak dziwne zrządzenie!
Toż tyś mi jeszcze z dziadów przyjaciel gościnny!
Wszak to Bellerofonta Ojnej a nikt inny
Raczył przez dni dwadzieścia przy swoim kominku.
Potem sobie gościńce dali w upominku:
Ojnej pas purpurowy — przedziwna robota!
Bellerofon zaś puhar rzeźbiony ze złota.
(Zostawiłem go w domu wyruszając w pole).
Tydeja zaś nie pomnę. Jeszczem był pacholę,
Kiedy go pod Tebami uśmiercili wrogi.
Więc tyś mój gość, gdy w Argos wstąpisz w moje progi,
Jam twój, gdy mię do Likyi zaprowadzą bogi
W walce niech teraz jeden drugiego unika.
Z mej ręki innych Trojan paść może bez lika,
Jeżeli Zeus pozwoli; Ty także z Achajów
Innego wysłać możesz do podziemnych krajów.
Pomieniajmyż się zbroją! Niech się każdy dowie
Że w przyjaźni już żyli nasi pradziadowie."

Po tych słowach obydwaj na ziemię skoczyli,
I wziąwszy się za ręce, przyjaźń odnowili.
Ponoś wtedy Glaukowi Zeus zawrócił głowę,
Kiedy oddał swą zbroję Tydeidzie. Owę
Na sto wołów ceniono — lśniła złotem cała, —
Dyomeda zaś ledwie dziewięć sztuk wartała.

Tymczasem Hektor szybko ku miastu pospiesza.
Gdy stanął w skajskiej bramie, wnet Trojanek rzesza
Obstąpiła go. Jedna pyta się o syna,
Druga o brata, inna o mężu wspomina.
On im modlitwą kazał wznieść się do niebiosów;
Wszak tyle jeszcze strasznych czekało je ciosów!

Potem do domu ojca skierował swe kroki,
Kędy sterczał przedsionek jasny a wysoki,
Pięćdziesiąt tam sypialni małżeńskich się kryło,
Jedna tuż obok drugiej; pięćdziesiąt też było
Synów króla; tam w nocy przy swych żonach spali.
Córkom zaś z drugiej strony pomieszkanie dali,
Gdzie się dwanaście komnat małżeńskich wznosiło,
Jedna tuż obok drugiej; dwunastu też było
Zięciów króla; tam każdy spoczywał przy żonie.
Przed domem spotkał Hektor matkę, tuż koło niej
Kroczyła Laodyka, — prześliczna dziewczyna!
Matka syna za rękę wzięła i tak wszczyna:

„Synu, cóż cię skłoniło, żeś rzucił bój wściekły?
Ach, jakże nam przeklęte Achiwy dopiekły,
Wdzierając się do miasta! Tyś tu przybył może,
By Zeusa o zwycięstwo poprosić w pokorze?
Czekaj chwilę, niech wina przyniosę słodkiego.
Ażebyś miał niebianom ofiarować z czego,
Potem sam się pokrzepić możesz onym płynem,
Wszak każdy mąż zmęczony posila się winem,
Dzisiaj zasię w utarczce tyś się strudził wielce!"

Skwapliwie na to Hektor odrzekł rodzicielce:
Nie, nie czyń tego matko! Ja wina pić nie chcę,
Ono łatwo osłabia, chociaż smak nam łechce.
Nie chcę też zwrócić na się Zeusa gniewne oko:
Patrz, me ręce zbroczone kurzem i posoką,
Toż przecie w takim stanie nie złożę ofiary
Zeusowi, co w swej mocy dzierży chmur obszary.
Matko, ty módl się teraz! Powołaj matrony
Do świątyni Ateny na zamku wzniesionej,
Rozkaż się im zgromadzić we wnętrzu przybytku,
Potem szukaj w komorze z całego dobytku
Najlepsze, najprzedniejsze, jakie masz odzienie,
I w darze pięknowłosej przynieś je Atenie.
Przyrzecz, że jej Hekuba chętnie ofiaruje
Dwanaście jałóweczek, jeżli się zlituje
Nad miastem, kobietami i niewinną dziatwą,
Jeśli wstrzyma Tydydę, co nieci tak łatwo
Popłoch w sercach trojańskich. Prędzej do świątyni!
Tam proś dla nas o litość potężnej bogini!
Ja idę po Parysa. Może też raz przecie
Usłucha mnie. Oj, gdybyż już nie żył na świecie!
Ileż to przezeń cierpień zniósł Pryam sędziwy,
Jego syny i Trojów naród nieszczęśliwy!
Matko wierzaj mi: Z serca spadłoby mi brzemię,
Gdyby się on kobieciarz zapadł raz pod ziemię!"

Tak syn; więc matka zdąża w komnaty zamkowe
I każe zwołać dziewkom niewiasty wiekowe,
Potem na dół, do wonnej uda się komory,
Tam dopiero makatów i szat poczet spory!
A wszystko tak misterne, że aż spojrzeć miło!
Nie darmo się to w rękach Sydonek robiło,
Które Parys był niegdyś przywiózł ze Sydonu,
Gdy z porwaną Heleną wracał do Ilionu.
Z tych szat wzięła Hekuba jednę dla bogini,
Była ponoś najdroższa, a leżała w skrzyni
Na spodzie; jakby z gwiazdy biły z niej promienie.
Taki dar poszła złożyć u kolan Atenie,
Tuż za nią białowłose starki się cisnęły.

Kiedy zaś przed świątynią Pallady stanęły
Rozwarła im podwoje dorodna Teano,
Którą Antenorowi za małżonkę dano;
Była ona kapłanką Diosowej córy.
Więc niewiasty podniosły swe ręce do góry
Prosząc o miłosierdzie, Teano zaś bierze
Szatę, u stóp bogini składa ją w ofierze,
I taką się modlitwą wznosi do jej tronu:

„Ateno, co w twej pieczy masz gród Ilionu,
O najświętsza bogini, ukaraj Tydydę,
Złam mu grot, lub ze świata sprzątnij tę ohydę!
Mybyśmy tobie dwanaście jałówek dały,
Jeżliby tylko poległ Dyomed zuchwały.
Zlitujże się, nie odrzuć naszego błagania!"

Rzekła, lecz do jej prośby Pallas się nie skłania.

(Dok. nast)

Listy z Anglii.

Sygurda Wiśniowskiego.

IV.

Londyn w Lipcu 1877

Zaledwie otrząsłem kurzawę z długiej, w części pieszej pielgrzymki po Anglii, od granic Szkocyi do południowego rąbka wyspy Wight, kiedy znów wybiegłem po za dymny obręb tej stolicy. Tym razem odwiedziłem Epsom i park w Windsor, aby przypatrzeć się obozowemu życiu i manewrom korpusu, który w razie zbrojnego wystąpienia Anglii najpierwej popłynie na Wschód. Korpus ten zawiódł mnie, nawet co do liczby. Gazety zawiadomiły nas, iż 19 pułków piechoty, 5 kawaleryi, oraz 11 bateryi wystąpi na paradę. Chociaż znam tutejsze stosunki, zadziwiłem się, gdy te 24 pułków, z tyluż jenerałami i podwójną liczbą pułkowników — wynosiły zaledwie 15000 ludzi i 3000 koni. Znaczniejsza część piechoty składała się z rekrutów, młokosów poniżej lat 20, a obfitość maruderów w marszu, tudzież chwiejność linii w przemarszu przed królową, niemile mnie uderzyły. Przypomniałem armią angielską starej daty, z dojrzałych, wąsatych, w licznych kampaniach i latach służby wyćwiczonych weteranów. Wówczas pułki angielskie, rozwinięte w długich liniach, śmiały maszerować. Było to jednak, zanim dla naśladowania Prusa-

ków Anglicy odprawili starych żołnierzy do rezerwy, której nie możnaby zebrać w razie wojny. Natomiast zapełnili linią rekrutami. Wątpię, by korpus, który defilował przed królową i statysiącami widzów, zdobył się na cuda wytrwałego, niezłomnego męstwa szeregowców, które tylekrotnie zjednały Anglii zwycięztwo wbrew niezdolności wodzów. Przyznam, iż powróciłem z Windsoru cokolwiek rozczarowany. Armia młodej Anglii nie przypomina na manewrach armii starej Anglii.

Podróż po Anglii także rozczarowała mnie pod innym względem. Nauczyła mnie wprawdzie podziwiać stan tutejszego rolnictwa i przemysłu. Widziałem naocznie, iż Anglia postąpiła od czasu mojej ostatniej wizyty (w r. 1872) w zdobyczach pracy fizycznej, w oświacie, w ogładzie. Pomiędzy ludem wiejskim krzewi się poczucie własnej godności. Nie drży on już przed pastorem, squirem i fermerem, wiąże się w zjednoczenia, które zmuszają właścicieli roli do sumiennego wynagradzania robotników. Parobcy najadają się do syta i dzieci posyłają do szkółek. Lud górniczy i fabryczny w północnej, przemysłowej Anglii żyje lepiej niż kiedykolwiek. Wyrobnicy wiejscy zaczynają wołać o równouprawnienie polityczne, o głosy, przyznane już wielkomiejskim robotnikom. Są to lepsze dowody oświaty nad czytanie i pisanie. Schludność, oszczędność, znajomość potrzeb społecznych i praw swoich, umiarkowanie wobec sporów politycznych, wszystko to spotykałem. Jednakże powróciłem rozczarowany.

Nie przeczę, że własne sympatye przyczyniły się do tego uczucia. W chatce rybaka, w hucie gisera, nad szachtem górnika, w karczemce, w której kosiarze popijali *ale* bursztynowy, w kramie małomiejskim, w paradnym hotelu wyspy Wight, spotkałem apatyą dla sprawy wschodniej. Jakkolwiek ona zajmuje rząd, pisma i wyższy świat, nie obchodzi gminu. Jednym wmówili agitatorowie, iż Turcy są szatanami, ktorych wytępieniu nie godzi się przeszkadzać, inni wzdrygają się na myśl przerwania sybaryckiego spoczynku, nie chcą ponosić ofiar z krwi i podatków. Czynne wystąpienie Anglii nie przypada im do smaku. Czy rząd angielski zna tę niechęć ludu do podtrzymywania tradycyjnej powagi angielskiej w oczach świata? Czy znajomość ta jest kluczem do jego chwiejnej polityki?

Zresztą trudno ganić masy za obojętność, która widocznie sięga i do sfer wyższych. Wbrew komunałom, iż Indye są perłą w koronie Wielkiej Brytanii, której wypada strzedz jak oka w głowie, gdy budżet indyjski przyszedł przed parlament, zaledwie 9 posłów przesiedziało całą rozprawę. Trudno żądać od ludu, aby rozumiał doniosłość drogi przez Pamir, lub przez Armenią, albo znaczenie wodnego szlaku przez Bosfor i t. p. gdy parlament je lekceważy. Rozumie on jednak, iż wojna jest kosztowną niegodziwością, której wypada unikać. On jeden z narodów europejskich brzydzi się legalnem morderstwem — szkoda tylko, że Europa nie należy do Anglii. Zgadzam się z ekonomistą belgijskim, który w jednym z najnowszych miesięczników dowodzi, iż gdyby cała Europa przeszła pod humanitarne panowanie Anglii, byłaby szczęśliwą. Niestety Europa nie usłucha zdrowej rady, dzieli się na społeczeństwa niespokojne, tępiące się wzajemnie, nie naśladuje genewskich, międzynarodowych sądów, nie troszczy się li o dobrobyt społeczny. Wobec tej jaskini zbójców angielskie *dolce far niente* polityczne nie jest na czasie. Czyż historya ostatniego stulecia nie pisze wyraźniej od przestrogi babilońskiej: „biada ludziom dobrej woli, biada sybarytom?“

Lecz przejdźmy od spekulacyjnych pytań do bieżących wypadków.

„Żyjemy w wieku reform. Omijanie koniecznych reform rodzi gwałtowne przewroty. Nawet gmachy polityczne kruszą się, wyznania stają się formułkami powtarzanemi, lecz bez wpływu na życie publiczne; stoimy na progu epoki duchowej i politycznej demokracyi, ludzkość pryska na 200 milionów jednostek, z których każda odważa się krytykować, myśleć i działać według własnej woli.“... i t. d.

Szumny ustęp — nie prawda? Wyrwałem go, niby ozdobną łatkę ze skromnej sukienki, z odezwy bakałarzy londyńskich, wołających o reformę w pisowni angielskiej. Ton ustępu dowodzi, że w razie spóźnienia reformy grozi językowi angielskiemu gwałtowna rewolucya... Odezwa nie powiada, czy ze strony żaków trapionych zawikłaną nauką zgłoskowania, czy ze strony nauczycieli, którzy często sami nie mogą pojąć wszystkich tajemnic szalonej, angielskiej ortografii. Koniec końców, doktorowie wielkiego i małego abecadła wołają o refomę w pisowni, a niektóre stowarzyszenia naukowe popierają to żądanie, obliczając (Anglicy mają żyłkę do statystyki), ile godzin oszczędziłby każdy student, ogół studentów, oraz cudzoziemcy uczący się po angielsku, gdyby przyjęto pisownię fonograficzną. Agitacya szerzy się. Wołają, iż mowa angielska stałaby się uniwersalną, gdyby uproszczono ortografią. Proponują nowy, doskonały system fonograficznego pisania. Zadanie ich wydaje się na pozór praktyczne. Wszyscy je' chwalą. Tchnie ono logiką rezolucyi myszy w znanej bajce, aby dzwonek przypiąć kotowi. Lecz kto go przypnie?.. Kto ma powagę dostateczną do zmienienia pisowni angielskiej?

Reformatorowie zamierzają udać się o pomoc do wszechwładnego *enfant terrible* parlamentu. On, po ukazu, ma ułatwić światu i młodzieży naukę pisowni angielskiej. Niestety, odzywają się już głosy, że reformatorowie zapomnieli o jednej okoliczności — co stanie się z całą literaturą angielską w razie tej zmiany? Wymowa angielska nie zmieniła się wielce od dni Wycliff'a, nic a nic prawie, od kiedy pan Chaucer stworzył pierwszy poemat angielski, godny nieśmiertelności. Któż z współczesnych zdoła zrozumieć biblią Wycliffa lub dzieła Chaucer'a w oryginale, w druku? Gdyby zreformowano pisownię obecną, nietylko Chaucer'a, ale Szekspira, Dickens'a, i George Elliota nie rozumiałoby przyszłe pokolenie!

Doniosłość rewolucyi spowodowanej zmianami w pisowni angielskiej w epoce Tudorów uwydatnił obchód czterechsetletniej rocznicy wprowadzenia do Anglii drukarstwa, przez Caxton'a, który przywiózł ten kunszt z Żuław. Jak wszędzie tak i tutaj grasuje silnie choroba jubileuszów. Miesiąc nie mija bez jubileuszu. Od daty ostatniego mojego listu do *Tygodnia*, obchodziliśmy czterdziestą rocznicę wstąpienia na tron królowej Wiktoryi, tem świetniej, iż koronacya Wiktoryi była zwiastunem nowej ery dla Anglii. Niemniej słusznie sili się Londyn na uczczenie pamięci pierwszego drukarza angielskiego. Caxton zasłużył się ojczyźnie podwójnie — sprowadził pierwszą prasę, i nie drukował na niej dzieł łacińskich, nie zrozumiałych dla gminu, lecz wydawał książki w mowie narodu. Bez względu na wartość literacką tych książek, musimy przyznać rzadki patryotyzm temu pionierowi drukarstwa.

Wydania jego były nader piękne. Dziwne myśli nasuwały się do głowy, gdy wartowałem zbiór arcydzieł Caxton'a, wystawiony z powodu jubileuszu. Kunszt druku, ów rzeczywisty apostoł postępu, oświaty, wolności, filantropii, wcześnie bywał już używany na krzewienie fałszu. Biedny Caxton znalazł mecenasów, lecz musiał drukować potępienia prawdy, ostrzeżenie od światła, pochlebstwa dla możnych. Despotyzm zgadł instynktowo w jaki sposób użyć ten wynalazek na swoję korzyść. Jednakże wszelkie jego zabiegi nie powstrzymały dłonie innych od zmieniania druku w narzędzie innego rodzaju dążeń. Darmo zaprzęgali obskuranci kunszt Caxtona w swoję służbę, kazali mu lud zaciemniać, prawdę gmatwać, głosić panegiryki możnowładców, krzewić przekonanie pomiędzy gminem, że cierpliwość pod niegodziwem jarzmem jest cnotą, opisywać malowniczo ohydny system średniowiecznych kontrastów, na mocy którego klasą rządzącą, jasną jak południowe światło, hardą na kształt alpejskich szczytów, ukoronowanych perłami lodników, oddzielała bezbrzeżna i bezdenna otchłań od ciemnych, jałowych czeluści ludu. Druk nie dał się okrępować, podniósł wszystko, równa wszystko, tworzy z ludzkości mniej na pozór malowniczy lecz użyteczniejszy padół, bez niedostępnych obelisków i niezgłębionych otchłani, pełny wyżyn, ale łagodnych, pełny dolin ale oświetlonych, wszędy uprawny i żyzny. Wątpię, czy Caxton byłby znalazł mecenasów, gdyby Tudorowie, rycerze i opaci byli mogli przewidzieć skutki jego kunsztu.

W ostatnich dniach czerwca obchodzono uroczystość na cześć Haendla, którego Anglicy uważają za narodowego swojego kompozytora, na mocy naturalizacyi. Nie próbują jednak wmówić w świat, iż Haendel był rodowitym Anglikiem. Zresztą muzyk niemiecki nie żył w epoce Kopernika, lecz w wieku, który nie pozwoliłby fałszować faktów historycznych. Jednak wątpię, ażali gmin tutejszy dba albo wie, iż Haendel urodził się za granicą. Uważając go za rodaka święci jego pamięć. Żaden narod nie czci do tego stopnia dzieł Haendla jak angielski. Mówiąc prawdę, jest to może jedyny wielki kompozytor, którego masy tutejsze rozumieją. Co lat 3 w kryształowym pałacu, wobec dwudziestu tysięcy słuchaczy, przez dni kilka, powtarzają oratoryą Haendla. Orkiestry i chóry z 3 — 4000 osób wykonywają takowe. Pierwszorzędni spiewacy, niewykluczając Patti i t. p. poświęcają czas swój na uświetnienie uroczystości. O powodzeniu materyalnem tych olbrzymich i kosztownych koncertów nie ma nigdy wątpliwości, gdyż „świat wyższy“ płaci bajeczne ceny za miejsca, z których można słyszeć sola spiewaków.

Gdy wspomniałem o spiewakach, wtrącę nawiasem, że straszna operacya dokonana na pannie Titiens, ubóstwianej przez Londyn, nie odniosła pożądanego skutku, pomimo iż próbował jej dr. Spencer Wells, pierwszy operator tutejszy. Wielka artystka żyje, lecz dźwiga gorżką świadomość fatalnej choroby i podobno nigdy już nie wystąpi.

Patti śpiewa w operze królowej. Nie wiem, czy słyszeliście o zabawnym objawie angielskiej *pruderie* na pierwszem tegorocznem wystąpieniu śpiewaczki. Ją samo powitano z zapałem, ale gdy signor Niccolini zjawił się na scenie, loże psykały. Grzeszki prima donny wybacza cnotliwa Anglia, lecz *mon cher ami* tenor odpokutował za dwoje. Któż

zaprzeczy, że nie sądzimy i karcimy srogo ułomności pewnego rodzaju, i to bez względu na osoby? Wszakże niepopularność księcia Wallii pochodzi z zarzutów niewierności dla nadobnej ulubienicy ludu, żony swojej. Jego awantury, długi i zgrywania się na wyścigach krytykowane są ostro w klubach. Prasa angielska oczywiście nie rozmazuje tej sprawy. (Dok. n.)

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XI.

Dziewice ognia.

W tydzień po opisanych wyżej wypadkach, przyjaciele inżyniera Starr byli wielce zaniepokojeni. Zniknięcie inżyniera nie dało się w żaden prawdopodobny sposób wytłómaczyć. Od służącego jego dowiedziano się tylko, że wsiadł na parostatek w Granton-pier, a od kapitana Księcia Walii, że dopłynął do Stirling. Tam już znikły wszelkie poszlaki. Szymon Ford prosił w liście swoim o tajemnicę, inżynier też nikomu nie powiedział dokąd wyjeżdża.

Cały Edymburg zajęty był zagadkową nieobecnością inżyniera. Sir Elphiston, prezes Instytutu królewskiego, zakomunikował kolegom swoim list, w którym James Starr uniewinniał się, że nie będzie mógł uczestniczyć na najbliższem posiedzeniu Towarzystwa. Dwie czy trzy inne osoby, otrzymały podobnież równobrzmiące listy — dokumenta te jednak, stwierdzając wyjazd inżyniera z Edymburga — co zresztą było już powszechnie wiadomem — nie wskazywały bynajmniej co się z nim dalej stało. Otóż, nieobecność takiego męża, wprost przeciwna dotychczasowym jego zwyczajom, musiała w pierwszej chwili zadziwić, a następnie, przeciągając się, wywołać naturalne obawy względem jego osoby.

Żaden z przyjaciół inżyniera nie mógł ani przypuścić, aby James Starr udał się był do kopalni Aberfoyle. Wiedziano, że nie miał najmniejszej ochoty zwiedzania miejsc, które dawniej były świadkami jego działalności i trudów. Noga jego nie postała tam od owego dnia, w którym wydobyto ostatnią bryłę węgla. Gdy przecież parostatek wysadził go w Stirling, robiono poszukiwania i w tamtych stronach.

Poszukiwania te nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Nikt nie przypominał sobie, aby inżynier Starr widzianym był w okolicy w ostatnich czasach. Jeden tylko Jakób Ryan, który spotkał go w towarzystwie Henryka na jednej z drabin w szybie Yarow, mógłby był zaspokoić ogólną ciekawość. Ale wesoły ten chłopak, pracował, jak wiemy, na folwarku Melrose, w południowo-zachodniej stronie hrabstwa Renfrew, o czterdzieści mil od kopalni Aberfoyle, i ani przez myśl mu przeszło, że nieobecność inżyniera James Starr wywołała tak żywy w publiczności niepokój. I tak samo też teraz, w tydzień po ostatniej swej bytności w komorze Dochart, wyśpiewywałby jak dawniej na wieczornych zebraniach klanu Irvine — gdyby sam nie miał własnych swych kłopotów, o których niżej będzie mowa.

James Starr był człowiekiem zanadto szanownym i szanowanym, nietylko w mieście ale i całej Szkocyi, aby fakt taki, tyczący się jego osoby, mógł przejść niepostrzeżenie. Lord-prevot, najwyższy dygnitarz w Edymburgu, naczelnicy władz, radcowie, po większej części zaprzyjaźnieni z inżynierem, zarządzili najenergiczniejsze środki, wysłano ajentów na prowincyę, ale wszystko napróżno.

Wypadało więc już tylko podać stosowną wiadomość do głównych dzienników obojga królestw, z rysopisem inżyniera James Starr, z oznaczeniem dnia, w którym wydalił się z Edymburga i oczekiwać dalszych następstw tego ogłoszenia. Zbytecznem byłoby dodawać, że wiadomość przyjętą została z wielkiem ubolewaniem przez uczony świat całej Anglii, przygotowany już prawie na utratę jednego z najznakomitszych swych członków.

Jednocześnie z takiem zaniepokojeniem wyższych sfer społeczeństwa względem osoby inżyniera, niemniej niepokojono się i o Henryka Ford, z tą wszakże różnicą, że syn starego obermana zakłócił spokój nie całego kraju, ale jednej tylko osoby, to jest przyjaciela swego, Jakóba Ryan.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że Jakób spotkawszy się z Henrykiem w szybie Yarow, zaprosił go na zabawę klanu Irvine, mającą odbyć się za tydzień. Henryk przyjął zaproszenie i stanowczo przyrzekł Jakóbowi, że przybędzie na tę uroczystość, a Jakób nieraz już miał sposobność przekonać się, że przyjaciel jego był człowiekiem słownym.

Otóż na uroczystości w Irvine, obok śpiewów, tańców i najrozmaitszych rozrywek, do zupełnej zabawy brakowało tylko — Henryka Ford.

Jakób Ryan z początku czuł żal do niego, gdyż nieobecność przyjaciela niekorzystnie nań wpływała; stracił humor, nie miał żadnej ochoty do zabawy, śpiewając nie mógł sobie słów przypomnieć i, co mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło, mylił się w tańcu, w którym zwykle ogólne zyskiwał sobie oklaski.

Wypada tu nadmienić, że artykuł, umieszczony w dziennikach o zniknięciu inżyniera Starr, nie wpadł jeszcze w ręce Jakóba Ryan. Dzielny więc chłopak zajmował się dotąd jedynie nieobecnością Henryka, nie wątpiąc, że tylko nadzwyczajna jakaś przeszkoda nie dozwoliła mu dotrzymać danego słowa. Zaraz też nazajutrz zamierzał udać się przez Glasgow do Aberfoyle — i byłby to niezawodnie uczynił, gdyby go nie był zatrzymał wypadek, którego omal życiem nie przypłacił.

Wypadek, o jakim mówimy, miał miejsce w nocy 12 grudnia i w istocie, wszystkim wierzącym w rzeczy nadprzyrodzone, których na folwarku Melrose nigdy nie brakowało, wiele mógł dać do myślenia.

Irvine, małe nadmorskie miasteczko w hrabstwie Renfrew, liczące około siedmiu tysięcy mieszkańców, zbudowane jest na jednym z nagłych zakrętów w jakie łamią się wybrzeża szkockie po nad zatoką Clyde. Miejscowy port, dostatecznie zabezpieczony od wiatrów, oświetla silna latarnia, wskazująca miejsca dogodne do wylądowania, tak, iż roztropny marynarz nie może się pomylić, czemu też zawdzięczać należy, że w okolicy tej bardzo rzadko zdarzają się wypadki rozbicia, i statki zdążające czy to do Glasgowa czy też do Irvine, śmiało mogą tu żeglować, nawet wśród najciemniejszej nocy.

Każda, chociażby najmniejsza mieścina, chociażby zupełnie pozbawiona historycznej przeszłości, skoro tylko zamek jej był niegdyś własnością którego ze Stuartów, musi posiadać jakieś ruiny.

We wszystkich zaś ruinach szkockich mieszkają duchy. Takie przynajmniej ogólne mniemanie rozpowszechnione jest, zarówno w górzystych okolicach jak i w dolinach.

Do najstarszych na całem pobrzeżu i najgorszej używających reputacyi pod względem nadziemskich swych mieszkańców należały właśnie ruiny zamku Roberta Stuart w Irvine, noszące nazwę Dundonald-Castle.

W owej epoce, zamek Dundonald, główne siedlisko wszystkich pokutujących duchów z całej okolicy, znajdował się w stanie zupełnego opuszczenia. Położony na wysokiej skale nad morzem w odległości dwóch mil od miasta, zwiedzany był bardzo mało. Zdarzali się wprawdzie niekiedy ciekawsi podróżni, którym przychodziła ochota badania tych odwiecznych pomników przeszłości, ale amatorowie tacy zniewoleni byli sami udawać się na miejsce, gdyż mieszkańcy Irvinu za żadne w świecie pieniądze nie zechcieliby towarzyszyć im w podobnej wycieczce. I trudno było dziwić się wstrętowi przesądnych mieszkańców, skoro wszyscy oni przekonani byli, że w ruinach starego zamku mieszkają tak zwane *Dziewice ognia.*

Najprzesądniejsi utrzymywali nawet, że na własne oczy widzieli owe niebezpieczne istoty; rozumie się, że w liczbie łatwowiernych znajdował się i nasz Jakób Ryan.

Prawdą jest, że od czasu do czasu ukazywały się wśród zwalisk, to wzdłuż ściany na wpół w gruzach leżącej, to po nad jedyną pozostałą basztą, wysoko wznoszące się płomienie — ale czy podobne one były do ludzkiej postaci, jak utrzymywano? czy zasługiwały na nadaną im przez nadbrzeżnych mieszkańców nazwę *dziewic ognia?* czy było to tylko proste zjawisko fizyczne przystrojone w fantastyczne sukienki rozbujałej wyobraźni — o tem, trudno byłoby na razie — bez gruntownego naukowego sprawdzenia, stanowczo zadecydować.

Bądź co bądź, *dziewice ognia* poczytywane były w całej okolicy, jako stałe mieszkanki zamku Dundonald, w którym, według wiarogodnych zapewnień, odprawiały czasami, zwłaszcza podczas ciemnych nocy, diabelskie swe uczty. Jakób Ryan, pomimo niezaprzeczonej swej odwagi, nie ośmieliłby się przygrywać im na kobzie, a namawiany przez towarzyszów do tak heroicznego aktu, zwykł był odpowiadać:

— Obejdzie się ta piekielna heca bezemnie; stary Nick wystarczy im!

Łatwo się domyśleć, że dziewice ognia dostarczać musiały niewyczerpanego materyału do opowieści i legend. Szczególniej też Jakób zawsze miał o nich coś nowego do powiedzenia — i jak zwykle, tak i ostatniego wieczora, kończącego uroczystość irvińską, a rzęsiście zakrapianego piwem i wódką, nie omieszkał powrócić do ulubionego przedmiotu opowiadań, z wielkiem zadowoleniem a może i z niemniejszym strachem swoich słuchaczów.

Zebranie odbywało się w obszernej stodole, należącej do folwarku Melrose, a stojącej na samem wybrzeżu. Jasny płomień koksu palącego się na blaszanym trójnogu oświetlał hulaszcze towarzystwo.

Na zewnątrz tymczasem huczała burza. Olbrzymie bałwany, pędzone południowo-zachodnim wiatrem, rozbijały się o brzegi. Niebo, ziemia i woda łączyły się w jedną czarną masę wśród

*

ciemnej nocy, czyniąc prawie niedostępną tę część przybrzeża, wystawioną na igraszkę rozszalałych wichrów.

W małym porcie irvińskim nie wiele zatrzymywało się statków większych rozmiarów. Okręta handlowe bowiem, żaglowe czy też parowce, wpływające do odnogi Clyde, przybijały do lądu zwykle cokolwiek więcej na północ.

Tego wieczora jednakże rybak jaki, znajdujący się przypadkiem nad morzem, mógłby był ujrzeć ku wielkiemu zdziwieniu swemu statek zmierzający do wybrzeża. Ale zdziwienie to zmieniłoby się niebawem w przestrach, gdyby — przypuszczając nagłe ustąpienie ciemności — dojrzeć był mógł, że statek, pędzony wiatrem, przy pomocy wszystkich swych żagli, dążył prosto ku nadbrzeżnym skałom. Zmyliwszy widocznie drogę do wejścia do zatoki, nierozważny sternik zbliżał się z każdą chwilą do miejsca, gdzie oczekiwała go niechybna katastrofa.

Zabawa w stodole kończyła się właśnie ostatniem opowiadaniem Jakóba Ryana. Słuchacze jego, przeniesieni w krainę fantazyi, znajdowali się w owem rozmarzonem usposobieniu, w którem człowiek staje się skłonnym do uwierzenia we wszystkie cuda i nadzwyczajności.

Nagle z po nad wybrzeża dały się słyszeć gwałtowne krzyki.

Jakób Ryan przerwał natychmiast opowiadanie i wszyscy wybiegli ze stodoły.

Noc była straszna. Wicher dął przeraźliwie a potoki deszczu zalewały wybrzeże.

Dwaj czy trzej rybacy, dla lepszej ochrony przed wiatrem, na wpół schyleni i tuląc się do skały, nawoływali mocnym głosem.

Jakób Ryan podążył ku nim wraz z towarzyszami swymi.

Głosy te wszakże nie były zwrócone ku mieszkańcom folwarku, ale do załogi statku, spieszącej bezwiednie na oczywistą zgubę.

Rzeczywiście, w odległości kilkuset sążni zaledwie, ukazywała się na horyzoncie ciemna masa. Że był to okręt nie trudno było rozpoznać po sygnałach jakie wywiesił: w gnieździe bocianiem wielkiego masztu paliła się bowiem latarnia biała, na prawym boku okrętu zielona a na lewym czerwona. Sygnały te wskazywały również, że statek zwrócony jest przodem i że z całą możliwą szybkością spieszy ku wybrzeżom.

— Rozbije się niezawodnie! — zawołał Jakób.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości — odpowiedział jeden z rybaków — i choćby chciał teraz zmienić kierunek, jużby nie zdołał tego uczynić.

— Sygnałów! prędzej sygnały! — krzyczał któryś z przybyłych Szkotów.

— Jakich sygnałów? — odparł rybak. — Podczas takiej burzy ani podobna pomyśleć o zapaleniu pochodni.

I na nowo głośnemi krzykami chcieli przestrzedz żeglarzy o grożącem im niebezpieczeństwie. Próżne to jednak były usiłowania; gwałtowny wicher tłumił wszelkie okrzyki, i zbliżający się okręt nie mógł już uniknąć rozbicia się o skały.

— Zkąd mu przyszło puszczać się w podobnym kierunku? — odezwał się marynarz będący w tłumie.

— Czyżby zamierzał wylądować tutaj? — dodał inny.

— Kapitan musi chyba nie znać latarni irvińskiej! — zauważył Jakób.

— Tak się zdaje — odpowiedział ten sam rybak, z którym poprzednio rozmawiał — jeżeli tylko nie został wbłąd wprowadzony innem jakiem...

Rybak nie skończył jeszcze mówić, kiedy Jakób wydał przeraźliwy okrzyk. Czy dosłyszano go na okręcie? W każdym razie za późnoby już było wycofać się z pośród raf, o które pieniące rozbijały się bałwany.

Ale okrzyk ten nie był, jak mogłoby się zdawać, ostatniem ostrzeżeniem; w tej chwili bowiem Jakób Ryan odwrócony był plecami do morza. Przerażeni towarzysze spojrzeli również w tęż stronę, w którą wzrok jego był zwrócony.

W półmilowem oddaleniu wznosił się zamek Dundonald. Tam, na szczycie starej baszty, palił się jasny, długi płomień, łamiący się, ale nie gasnący pod naciskiem szalonego wichru.

— Dziewica ognia! — zawołali jednogłośnie przesądni wieśniacy.

Mówiąc szczerze, trzeba było posiadać bujną wyobraźnię, aby w płomieniu tym dopatrzeć się jakiegokolwiek podobieństwa do ludzkiej istoty. Wieśniacy jednakże nie śmieli się już ruszyć z miejsca, powtarzając bezustannie:

— Dziewica ognia! Dziewica ognia!

Teraz nie ulegało już wątpliwości, że okręt zmylił drogę wśród ciemności, a spostrzegłszy światło na szczycie zamku Dundonald, wziął je za latarnię morską Irvinu i sądząc się tem samem u wejścia do zatoki, położonej jak wiadomo o dziesięć mil wyżej na północ, żeglował śmiało ku odkrytym brzegom na nieochybną swą zgubę.

Czy można jeszcze uczynić cokolwiek dla ocalenia go? Może wypadałoby iść ku ruinom i starać się stłumić ten płomień zaczarowany aby przekonać żeglarzy, że nie jest to latarnia morska Irvinu?

Rzeczywiście, w pierwszej chwili, byłoby to najskuteczniejszym środkiem; ale czy który z przesądnych Szkotów mógłby pomyśleć o czemś podobnem, a pomyślawszy wobec nawet, czy zdobyłby się na taką zuchwałość wobec dziewicy ognia? Być może, jeden tylko Jakób Ryan, jakkolwiek nie mniej zabobonny od innych, kierowany uczuciem szlachetności, zdolnym był do podobnego aktu bohaterstwa — ale teraz było już zapóźno; wśród wzburzonych żywiołów, dało się słyszeć straszliwe trzeszczenie, okręt wpadł już na podwodne rafy.

Jeszcze chwila, trzask powtórny, statek przechylił się na bok, i znikł wśród pieniących się bałwanów...

I — dziwny zbieg okoliczności — w tejże samej chwili płomień na szczycie ruin zgasł, jakby zdmuchnięty silniejszym prądem wichru, a niebo, woda i wybrzeże okryły się jedną nieprzeniknioną oponą ciemności.

– Dziewice ognia! — zawołał po raz ostatni Jakób Ryan, niemniej od towarzyszy swoich zdumiony nagłem zniknięciem nadprzyrodzonego jak im się zdawało, zjawiska.

Jednocześnie wszakże, odwaga, która opuściła ich na widok zagadkowego widziadła; wobec rzeczywistego niebezpieczeństwa, zagrażającego współbliźnim, napowrót wstąpiła w ich serca. Nie ulękli się rozhukanych żywiołów. Również odważni jak przesądni — z pomocą długich lin przytwierdzonych do lądu — rzucili się do morza niosąc ratunek nieszczęsnym rozbitkom.

Poświęcenie to uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem — prawda, że niektórzy, a w liczbie ich i Jakób Ryan, pokaleczyli się niebezpiecznie o podwodne skały ale kapitan statku i ośmiu ludzi składających załogę, wydobyto na ląd całych i zdrowych.

Rozbity okręt był to bryg norwegski Motala, płynął zaś z ładunkiem drzewa do Glasgowa.

Przypuszczenia o błędnym jego kierunku okazały się zupełnie usprawiedliwionemi. Kapitan złudzony płomieniem zamku Dundonald, zboczył z drogi i sądząc, że wpływa do portu Irvine, rozbił się na płaskiem odkrytem wybrzeżu.

A teraz z Motali pozostały zaledwie drobne szczątki, druzgotane do reszty o nadbrzeżne skały. (C. d. n.)

LISTY Z KRAKOWA.

I.

(Ciąg dalszy)

Bądźmy jednak spokojni — polityka zewnętrzna partyi nie zrujnuje prowincyi, choćby dla tego, że partya ta, (jak pisałem w poprzednim liście), jest nazbyt zamkniętą w sobie, i znajduje posłuch raczej z tradycyi, lenistwa, apatyi i skłonności do wielkiej polityki europejskiej, jak z zasad i przekonań. Zasady się nie wypowiedziały, czyli nie sformułowały, ani w masie szlachectwa, czyli posiadaczy ziemskich, którzy gdy są sami, stają się zawziętymi demokratami (o pojęciach szlacheckich), wobec zaś panów umieją poświęcić interesa prowincyi za ich uśmiech lub protekcyjny uścisk. Nie wypowiedziały się również w mieszczaństwie, jakiekolwiek ono jest, a jeżeli się kiedy objawią, to zawsze w kierunku szlachetnie i umiarkowanie postępowym. Na to potrzeba tylko czasu i reform rozwiązujących pomyślnie kwestye prowincyonalne, jak propinacyjną, drogową, gminną etc. etc., a które samą koniecznością i konsekwencyą rozwiązane być muszą, i sejm jakąkolwiek większość będzie przedstawiał, party opinią i koniecznością musi swą rękę przyłożyć, czyli sankcyonować załatwienie tych spraw w kierunku *już udecydowanym od lat kilku.* Na dowód, że nie mam w tem miejscu zamiaru obrażać prześwietnego sejmu, a w nim ojców narodu galicyjskiego, dodam, że przeważna część praw przeprowadzonych w parlamentach Europy przechodziła też same koleje. A jeżeli nie przechodziła, trwałość ich często bywała zakwestyonowaną.

Stronnictwo rządzące zostawiam samemu sobie, przy najlepszych chęciach, pomimo że u steru mogą się znajdować ludzie rozumni i wytrawni, musi się wyradzać, jak to mamy liczne przykłady w naszych stosunkach.

Przyjaciele - wyraz ten zawsze mnie przestrasza, a przeraża, gdy dodam, przyjaciele, od których uwolnić się nie mogę.

Niejednokrotne wystąpienia zuchwałych rycerzy tylko dla tego, iż nie znajdują w szrankach przeciwników, częstokroćby rozśmieszało, gdyby nie było upakarzającem dla całej prowincyi. Co do mnie robią mi one wrażenie, raczej przypominają właściciela psa, który chcąc się przekonać o wierności swego towarzysza, kopie go od czasu do czasu nogą, ciekawy czy wierne psisko nie warknie i zębów nie pokaże, aby go użyć w danych razach do posług wymagających wielkiej odwagi i nieograniczonego posłuszeństwa.

Lucyan Siemieński, najdowcipniejszy z krakowskich mężów sławy — wyraził się o „Przeglądzie Polskim,“ że jest kucykiem, którego dosiadają panicze dla popisywania się cywilną odwagą z erudycyą przed publicznością. Istotnie nie może być trafniejsze, a zarazem sprawiedliwsze określenie stanowiska tego pisma.

Dosiadali go różni, mniejsi i wielcy, jak Szujscy, Tarnowscy, Koźmiany, Lule Wodziccy, Lole Dębiccy, Lisiccy...

Kucyk jest niespokojny i często wierzga. Wierzgania kucyka należy brać analogicznie z kopaniem nogą psa, jeżeli pod psem będziemy rozumieć opinią, a ponieważ tej nie ma — społeczeństwo galicyjskie.

Pomijam tekę Stańczyka i inne podobnego rodzaju wyroby, a nawet po części usprawiedliwiam je: namiętnością polityczną, akcyą walki, (gdyż wtenczas była jeszcze walka), młodością rycerzy i ich animu-

szem, a szczególniej wiarą we własny dowcip. Wiara w dowcip, jeżeli nie tworzy cudów, to często płodzi rzeczy, wobec których śmieje się przedewszystkiem autor, nie sam z siebie, ale z własnego dowcipu; inni wtedy zwykle się nudzą. Teka Stańczyka ucichła, bo i młoda namiętna walka ustała: „wszystko wróciło do swego pogrzebu.“ Młodzi rycerze po dzielnem zaprezentowaniu się na kucyku, mimo że kucyk wierzgał, a nikt nie ośmielił się śmiać, chociaż się wielu gniewało, powychodzili na wielkich ludzi: profesorów i akademików, piszą rzeczy poważne, a czasem piękne. I jeżeli Szujski w historyi jest poetą, a w dramacie historykiem i co osobliwsza historyozofem?! to Tarnowski zawsze znakomitym artystą, czasem wpadającym w manierę wymagania arcy-doskonałości, zawsze atoli styl jego jest piękny, wyrażenia szlachetne i poglądy jasne i głębokie, jeżeli nie wychodzą z po zaczarowanego koła jego indywidualnych przekonań i wiary, i mówmy prawdę, uprzedzeń.... Zawsze ci dwaj ludzie odznaczają się gruntowną nauką, niezmordowaną pracą i szlachetnymi charakterami, i nie wątpię, a przy szczęśliwszej zmianie stosunków i wyrobieniu opinii, będą się wstydzić swej *Teki*, lub wstydzić się za nich będzie opinia, co na jedno wychodzi.

Lecz na *Tece* nie koniec, po wykreowaniu jednej partyi na wielkich ludzi, znaleźli się inni kandydaci przejechania się na kucyku, jedni dla honoru dostania się do towarzystwa pierwszych, drudzy ze zwyczaju, dla zadośćuczynienia modzie krakowskiego haute vélee na kucyku, lub popisu przed narzeczonymi. Jeden Artur Potocki należy do wyjątków, bo ma prawo stanowić wyjątek wszędzie i zawsze jako najbogatszy obywatel kraju. On jeden nie napisał żadnego artykułu w „Przeglądzie,“ a jednak ma narzeczoną, kocha i jest kochany, a Buńcia (babka, hr. Arturowa Potocka) w Odessie oszczędza, aby uskładać posag dla narzeczonej, bo panna nie jest majętną. Szlachetna staruszka bawi się, przeglądając swoje brylanty, które są najpiękniejsze w Polsce, aby zrobić dobry wybór na prezent ślubny przyszłej żonie jej Turcia, 17to letniej księżniczce, przed rokiem jeszcze pensjonarce w Sacréceour. Listy między wnukiem a babcią są rozrzewniające. Spowiedź młodego człowieka ze swych uczuć i uniesień serca jak najlepiej wróży o jego obywatelskiej przyszłości. Z biegiem wypadków lub fatalnością ślepej fortuny przyszła kolej dosiadania kucyka na p. Ignacego Skrochowskiego, którego Tarnowski czy to ze względu na białe jego zęby, czy na twarde płowe włosy, wysłał do uniwersytetów niemieckich na filozofią. Był zamiar, aby po ukończeniu studyów p. Skrochowski walczył w Alma Mater krakowskiej przeciw materyalizmowi nazwanemu nowożytnie pozytywizmem i innym produkcyom szatana, wszczepiając w młodzież krakowską święte ognie ideału, owinięte parą idealizmu, buchającą z tych ogni.

Pan Skrochowski pojechał, i naturalnie wrócił, zęby jego nic nie straciły na kolorze, a włosy na twardości, lecz co do nawracania misya się nie udała, czy to dla tego, że młodzież jest biedną, często głodną, a zostawiona sama sobie, chwile wolne przepędza przy kuflu piwa, idealizm zatem tem silniej kolorowałby ich nędzę. Lub może, że panu S. głos nie dopisał, dość, że z filozofa zmienił się w redaktora „Przeglądu,“ po czem w krótkim czasie pojechał od siebie samego do Don Carlosa, i wróciwszy obdarował literaturę, a przedewszystkiem „Przegląd,“ sprawozdaniem z misyi, apotozującem wystąpienie, czyny, politykę i krwawą wojnę domową, wznieconą przez pretendenta. Apoteoza przekroczyła granice, stała się śmieszną i dla tego nieszkodliwą. Lecz tem wystąpieniem p. Skrochowski złożył dowody swych przekonań, czyli świadectwo wierności i trzeźwości, społeczeństwo otrzymało uderzenie, na które nie zwróciło uwagi, a stronnictwo poświadczyło o swem wyradzaniu się. Apoteozować czyny i dążności o dwieście mil dalej od nas popełniane, a te same potępiać zawzięcie u siebie, chociaż pozycye tak są różne. Nazywać tamtych dla tego, że są oddaleni o 200 mil bohaterami, a swoich nikczemnikami, chociaż pozycye są tak różne, na to potrzeba zbytniej pewności, że się jest nieograniczonym panem sytuacyi, że się lekceważy społeczeństwo, czyli że siebie uważa się za społeczeństwo. Te przekonania, pochodzące z braku opozycyi, czyli formowania się drugiego stronnictwa, najwyraźniej dowodzą, że do normalnego rozwoju stosunków krajowych potrzeba niezbędnie dwóch wzajemnie się przeciwważących sił.

Nie ulega wątpliwości, że Don Carlos we Francyi miał stronników energicznych, śmiałych i nieżałujących złota, a jednak żaden organ poważnego stronnictwa nie wystąpił z apoteozą, chociaż Francuzów nie możemy nazywać ludźmi wielkiego taktu. Z Włoch, a podobno i Anglii płynęły statki z ochotnikami, bronią i amunicyą, a mimo to w żadnym z tych krajów poważne stronnictwo, nie apoteozowało w swych jawnych organach ostatniej wojny domowej w Hiszpanii... Jest to dowód, że w tych krajach są już zorganizowane stronnictwa, które wzajemnie się kontrolując, oddziaływają na siebie.

Niedawno przybył do Krakowa hr. Raczyński, (syn Rogiera), przystojny, dzielny i energiczny młodzieniec, imię dość znane nieco z awanturniczej sławy, ale zawsze w jak najlepszym gatunku. Młodzieniec wyrósł na męża, spoważniał, a przyjechał do Krakowa jak zwykle po żonę. Stary jednak nasz Kraków, gród poważny i sławny wielkiemi imionami, w którym obecnie hrabiowie, a synowie hetmanów są profesorami, w którym oprócz uniwersytetu jest akademia, a młodzi literaci żenią się z hrabiankami, w którym jest więcej księgarń jak kupujących, a niezawodnie więcej piszących jak czytających, musi więc mieć pewne wymagania i praw a dla rycerzy ubiegających się o mirtowy wianek, który tu zdobyć można przez wieniec wawrzynu. I znowu wyprowadzono kucyka w żółtym czapraczku, który już tylu woził, zawsze z dobrym skutkiem. Młody hrabia wojownik z pod okopów Rzymu, nawet zaszczytnie ranny, wdział pancerz, spojrzał dumnie w około i odrazu skoczył na niewielkich rozmiarów rumaka. Objechał galopem rynek, zwrócił się na Grodzką, zdobył Wawel, i piórem osmagał, a kopytami kuca zdeptał, wszystko co mógł i umiał. Wrócił na linię *c - d*, przyjęty oklaskami i czarownym uśmiechem damy swego serca. Kucyk chrapał i bił kopytami o kamienie z dumy i radości, a sam hrabia właściciel kuca, klepał go po szyi swą hrabiowską ręką.

Mówiąc poważnie, nie wypada wypożyczać swego organu starającej się, inaczej konkurującej młodzieży, tem więcej, gdy ten jest urzędowym organem stronnictwa. Zresztą, nie wszystko co zasługuje na krytykę, jest przyzwoicie obrzucać błotem lub kamieniami.

Nie wszystko co się stało, było nikczemnem i ohydnem, albowiem w konsekwencyi musimy siebie samych i naszych ojców zohydzać, co w każdym razie nie oznacza dobrego wychowania i nie zgadza się z zasadą arystokracyi, humanizmu i religii. Wysilać się, aby nieustannie złorzeczyć niedalekiej przeszłości i starać się nauczyć społeczeństwo przeklinać ją, staje się nieco podejrzanem, czy czasem nie dzieje się to w interesie zasłonięcia nieco dalszej przeszłości, która była istotną akcyą w dziejach naszych, gdy następne wypadki były jej reakcyą, a najwłaściwiej się wyrazimy, mówiąc rehabilitacyą, która istotnie zrehabilitowała społeczeństwo, chroniąc go od korupcyi i zupełnego upadku.

Panowie mający wpływowe i przeważne stanowisko w stronnictwie, aż nadto dobrze znają historyą, metody jej badania, a nawet jej filozofią, aby nie rozumieli konsekwencyi dziejowej, przejawów życia narodowego, stosunku przyczyn do skutków, i nareszcie pewnego loicznego ciągu działań, a zatem nie umieli właściwiej sobie wytłumaczyć zaszłych wypadków — jak tylko zbrodnią, w której sami brali udział. Również dobrze oni wiedzą, że przeszłe wypadki nie powtórzą się, bo się powtórzyć nie mogą, i że nikt nie myśli o ich powtarzaniu, gdyż społeczeństwo odskoczyło od tych pojęć w postępie o lat pięćdziesiąt, tylko dla tego, że nauczyło się oceniać swoje siły przez używanie tej wolności, którą ma.

Nieustanne wygadywania na to co się stało, i to w brutalny sposób, wiedząc że się drugi raz toż samo stać nie może, należy do małostek prowincyonalnych, małostek miasteczka, małych czyli niskich nienawiści i rozkoszowania się z boleści drugich.

Wszyscy byliśmy wśród burzy na okręcie, cząstka uprzywilejowanych zabrawszy ze sobą zapasy dostała się do łodzi i dopłynęła do brzegu. I czyż dla tego mają oni ucztując na lądzie miotać przekleństwa na tych, którzy toną lub walczą ze śmiercią, czepiając się szczątków okrętu?...

Istotnie jakieby wrażenie robili na umysłach szlachetnych ci ucztujący na brzegu?... A jednak zmienić obraz i zestawienie porównania, sytuacya staje się zbliżoną.

Przytoczone rysy każą mi wnioskować o wyradzaniu się stronnictwa panującego, dla braku, powtarzam — kontroli. I dla własnego ratunku stronnictwo powinno się koniecznie postarać o opozycyą. Ale nie tego rodzaju, aby *Czas* polemizował z *Przeglądem Polskim*, a ten z *Przeglądem Lwowskim* o gorącość wiary. Czyli aby Stanisław Tarnowski, właściciel *Czasu*, polemizował ze Stasiem Tarnowskim, właścicielem *Przeglądu*. Bądźmy spokojni, przy naturalnym biegu spraw naszego społeczeństwa wnukowi pana Tarnowskiego może być przykro, może się nudzić bez wyrobionej opozycyi. Dziadkowi wnuka jest bardzo dobrze bez niej, i gdy się modli nie prosi o nią Boga.

Niezmordowany, a zapracowany p. Szujski nie ma czasu zastanawiać się nad temi drobnostkami. A nareszcie rozumie się on tyle na polityce, co uczony na kombinacyach wypadków dnia, a p. Szujski jest prawdziwie, nie powiem, wyjątkowo w Krakowie, w całem tego słowa znaczeniu, uczonym mężem, kochającym namiętnie naukę, nie dla karyery i popisu. Jest to jeden z tych rzadkich dziś czułych kochanków, którzy oddają noce bezsenne, dnie ciężkiej pracy, marzenia, zdrowie i siły tej jednej, jedynej i nic w zamian nie żądają, prócz może czasem uśmiechu lub szeptu natchnienia, do odkrycia tajemnic przeszłości ubóstwianej, choć często opatrznie sądzonej, dla zasad.

Nie ma narodu, któryby nie kochał swej przeszłości, i nie egzaltował się wspomnieniami jej burz. Czyż źródło szlachetnych wspomnień, ciepło, które się rodzi w sercach naszych, odbierze nam przeświadczenie o niebezpieczeństwach burzy, lub o popełnianych błędach?... Że tak nie jest, przekonywamy się w każdym numerze wszystkich pism polskich w Galicyi, Warszawie i księstwie Poznańskiem. Czyż więc jest gwałtowna potrzeba spotwarzać ludzi i czyny, których jedyną wadą był zapał posunięty do gorączki, i śmiałe kroczenie wspólnie z prądem. Szliśmy wszyscy razem, za cóż więc teraz kopać kolegów, dla tego, że nam się powiodło wyjść cało i uratować fortunę. Niebezpiecznie prześladować to, co społeczeństwo szanuje, a wartość jego już oceniło. Przywódzcy stronnictwa powinni wiedzieć, że w każdym razie przyjdzie reakcya przeciw ich zręcznism się bezpotrzebnym, czy ona jednak będzie pożądaną dla kraju, najlepiej sami na to odpowiedzieć sobie potrafią.

(Dok. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXVI.

Młodzież uniwersytetu rzymskiego chcąc uczcić pamięć Giordana Bruno, który za propagandę nauki Kopernika został przez św. Inkwizycyą po siedmioletniem więzieniu spalony żywcem na stosie dnia 17go lutego 1600 r. postanowiła wznieść mu pomnik ze składek. Chcąc jednak nadać większą wagę tej uroczystości, zaprosiła do składek młodzież uniwersytecką świata całego w prześlicznej odezwie. Oprócz tej ogólnej odezwy młodzież rzymska w miesiącu czerwcu rb. wystosowała osobną do młodzieży polskiej, która została przesłana do najstarszej polskiej wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Odezwa ta brzmi:

„Kochani polscy koledzy!

Z radością widzieliśmy, z jakim zapałem dziękowaliście syndykowi Rzymu za zaszczyty oddane Adamowi Mickiewiczowi, w którym narody kolejno witały Byrona, Danta i Izajasza polskiego.

Gdy Adam Mickiewicz, braterskiem swem poświęceniem, dobrze się około Włoch zasłużył, słuszną było, aby Włochy pamięci jego hołd oddały na Kapitolu: i uczyniły to one w tymże

samym duchu, w jakim Polska w przeszłem stuleciu Janowi Jakubowi Rousseau indygenat polski udzieliła, a Francya Tadeuszowi Kościuszce tytuł obywatela francuskiego.

Te zaszczyty, które narody nawzajem swym wielkim ludziom oddają, jednę z charakterystyczniejszych stanowią cech naszej epoki; albowiem świadczą one u indywiduów o akcyi, wykraczającej po za granicę ich ojczyzny, u narodów zaś o solidarności wysileń, do jednego zmierzających celu i jedną wieńczonych wdzięcznością.

Pracujemy obecnie w Rzymie nad wzniesieniem pomnika Giordonawi Bruno, co żywcem został spalony już temu blisko trzy wieki. Z kilku już krajów wezwaniu naszemu godnie odpowiedziano.

I liczymy na wasz współudział, kochani polscy koledzy:

Albowiem Giordano Bruno skazany został głównie za niepohamowaną żarliwość, z jaką bronił systemu waszego Kopernika, któremu świat cały zawdzięcza odkrycia niebios, tak jak naszemu Krzysztofowi Kolumbowi winien odkrycie drugiej półkuli ziemskiej; i że zatem nie można uczcić Giordana Bruno bez uczczenia jednocześnie i Kopernika, za którego poniósł męczeństwo;

Albowiem synowie narodu, który wiedziony duchem powszechnej tolerancyi, przez długie wieki tulił w swe ramiona tych, co wszędzie indziej byli prześladowani, w pień wycinani lub paleni za sprawę religii, powinni oczywiście przyłączyć się do protestacyi uroczystej przeciw prawu, jakie sobie roszczono, palenia każdego, ktokolwiek myślał inaczej, aniżeli przepisuje władza;

Albowiem nareszcie zaprzeczenie chwilowego tryumfu przemocy brutalnej, jest to akt wiary w odrodzenie się wasze, Narodzie-męczenniku!“

Za komitet podp. margrabia Adriano Colocci, prezes.

Podając tę odezwę nie potrzebujemy zachęcać młodzieży naszej do przyjęcia udziału w tym szczytnym akcie. Chcemy tylko zwrócić uwagę, że do młodzieży zaliczyć się może każdy, w kim tętni młode serce i poczciwa myśl.

* * *

Dziennik Polski. W korespondencyi z Poznania zamieszczonej w nr. 167 wystąpił ostro przeciwko p. Żychlińskiemu z powodu zamierzonego przez niego wydawnictwa „Złotej księgi.“ Między innemi tak pisze: „P. Teodor Żychliński ogłasza prospekt założenia *fabryki szlachty*, którą uważał za stosowne nazwać „Złotą księgą.“ Nie myślimy się bynajmniej z panem Żychlińskim sprzeczać o istotne pojęcie złota w znaczeniu społecznem i gotowiśmy uwierzyć, że owa „księga“ nie dla tego się nazywa *złotą*, żeby była ze złota, lecz że składać się będzie z takiego materyału, który wyciąga złoto z kieszeni, aby z jednej strony zadowolić wcale niezłotą namiętność próżności, a z drugiej dać możność zrobienia interesu na głupich ludziach..

P. Żychliński w swoim prospekcie pisze: „Wzywam, aby w jak najkrótszym przeciągu czasu zechciały mi nadesłać swe papiery poparte autentycznemi dokumentami.“ Pytamy się więc p. Żychlińskiego, zkąd sobie wziął prawo rozpatrywania dokumentów szlacheckich i decydowania ich dostateczności, lub niedostateczności?... Zaiste, tylko w rozprzężonych stosunkach, wskutek podziału naszego społeczeństwa, może się zdarzyć fakt, aby jakaś jednostka, mało znana, a na polu historyczno-literackiem zupełnie nieznana, miała odwagę zajmować stanowisko rozdającego patenta na tytuły i godności szlacheckie... W każdym razie, czy tak, czy owak, przedsiębiorstwo pana Żychlińskiego, szczególniej w obecnych naszych politycznych stosunkach i położeniu, jest, grzecznie się wyraziwszy, niestosowne pod względem moralnej tendencyi, a pod względem literackim nie posiadające najmniejszej, a najmniejszej wartości, raz dlatego, że sama forma takiej „księgi,“ jest niczem więcej, jak lichym kalendarzem, a powtóre, że p. Żychliński, ani swoją pozycyą literacką, ani stanowiskiem społecznem, nie daje nikomu rękojmi autentycznej prawdziwości tego, co się tam w tej „złotej księdze“ znajdować będzie.

Za to, co tu mówimy, nie potrzebuje się p. Żychliński obrażać, charakter bowiem jego przedsiębiorstwa jest taki, że koniecznie wymaga albo naukowej firmy, albo ścisłego przedruku tego, co nauka pod tym względem uznała za fakta autentyczne. Powtarzamy jednak, że gdyby nawet i takie firmy były, to w dzisiejszych naszych stosunkach, zawsze uważalibyśmy przedsiębiorstwo to prawie za szkodliwe. Nie występuję tu bynajmniej jako wróg tradycyj szlacheckich, przeciwnie, przywiązuję do nich wielkie znaczenie, i cenię je wysoko, jako klejnoty rodzinne, a mogę zapewnić p. Żychlińskiego, że sam osobiście, gdyby mi chodziło o miejsce w jego „złotej księdze,“ z łatwością mógłbym mu dostarczyć drukowanych i piśmiennych dowodów, że przodkowie moi byli: „*bene nati et possesionati*“ i zasiadali na dygnitarskich krzesłach Rzeczypospolitej, więc stronniczość przezemnie nie mówi. Wyobrażam też sobie, co ambarasu będzie miał redaktor „złotej księgi“ z hrabiami i baronami galicyjskimi. Toż, ażeby ich pomieścić wszystkich, wątpię, czy łamy jednego rocznika wystarczą. No, przynajmniej raz dowiemy się, ile Galicya ma hrabiów i baronów, bo do tego czasu, jeżeli się nie mylę, nie znalazł się jeszcze nikt taki odważny, coby się chciał zająć tym rachunkiem — nie wiem tylko, jak p. Żychliński pogodzi tych hrabiów galicyjskich z tytułem: „Złota księga *szlachty polskiej*,“ bo wiadomo przecież jest, że większa połowa tych hrabiów i baronów galicyjskich *nie jest szlachtą polską*.“

Podzielając w zupełności zapatrywanie *Dz. Pol.* nie możemy jednakże odmówić sprytu p. Żychlińskiemu z jakim potrafił wyszukać sobie tanim kosztem wygodne stanowisko. Ciekawiśmy tylko, czy wielu ułowi na tę wędkę, bo zdaje się nam. że z prawdziwej szlachty nikt nie będzie szukał jego protekcyi.

* * *

W Krakowie nauczyciel gimnazyum św. Jacka ogłosił list samobójcy Samuela Ausübla, który brzmi jak następuje:

„Wielmożny panie profesorze!“ Niegodziwe postępowanie kolegów ze mną przyprowadziło mnie do kroku ogromnej doniosłości. Juźby mi może nie chodziło o zapłacenie tej książki, której, wyznaję tu powtórnie, nigdy w życiu nie widziałem, ale nie mogę znieść tego, aby na mnie, którego przeszłość, lubo niedaleko sięgająca, bo jestem prawie jeszcze dzieckiem, niczem jeszcze poplamioną nie została tam, gdzie dotychczas przebywałem, odrazu, i to w obcem mieście, gdziebym się był powinien spodziewać jakiejkolwiek gościnności, tak zbezczeszczoną została. Znajdując się przeto u progu, gdzie się mam rozstać z tym żywotem (w sposób gwałtowny), przebaczam kolegom za ich bezpodstawne, owszem nagany godne, przeciw mnie postępowanie, pomnąc na słowa Chrystusa: „Panie, przebacz im, albowiem nie wiedzą co czynią.“ (Ausübel był wyznania mojżeszowego. Red.). Tylko o to proszę Pana Boga, aby mnie w dalszem życiu swojem nie mieli na sumieniu. Nareszcie, mam tę nadzieję, że moja niewinność przecież raz zrządzeniem boskiem wyjdzie na jaw. Tymczasem proszę pana profesora, by raczył o mnie powziąć lepszą opinią, gdyż ze słów jego zmiarkowałem, iż mnie uważa za złodzieja owej skradzionej książki. Polecam się pamięci łaskawego pana profesora. Samuel Ausübel.

W Krakowie, dnia 20 czerwca 1877 r.

Powyższego zamiaru nie wykonałem odrazu, bom się jeszcze spodziewał, że pan profesor przecież weźmie pod rozwagę tę sprawę. Dzisiaj jednak doszło już do najwyższego stopnia. Nie umieram z obawy przed karą, bo kto ma czyste sumienie, kary się nie boi, ale umieram *aus verlorener Ehre*.“

Podajemy powyższy list dla zwrócenia uwagi pp. nauczycieli i przełożonych nad dziećmi, jak trudne a zarazem jak wielkie są ich obowiązki, przy lada zaniedbaniu których jak straszliwe mogą być następstwa. Smutne dzieje Samuela Ausübla powinnyby znaleźć miejsce w książce szkolnej, przeznaczonej do czytania dla dzieci ku przestrodze przed podobnem postępowaniem z kolegami.

BIBLIOGRAFIA

polska.

Jełowicki Al. Moje wspomnienia. Wyd. 2. 8ka str. 484 Poznań. 1877 4 zł. 88 ct.

Jokay M. Moje, twoje, jego. Powieść współczesna 2 tomy. 8ka str. 190. 215. Lwów. 1877 2. 80 ct.

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska. Wyd. nowe. 8ka str. 408. Lwów 1877. 1. 80 ct.

Roniecki Emil. Hrabia Artur. Powieść. 8ka Str. 291. Lwów 1877 1. 50 ct.

Salustiusza Cajusa Kryspa. Dzieła wszystkie. Wydanie *Habura.* 8ka str. 120 Tarnów. 1877 1 zł.

Szlosser. Dzieje powszechne, Zeszyty 116 i 117 8ka str. 192. Lwów 1877 r.

ruska.

Naywa czytanoczka dla selan i miszczan, 8ka str. 59 Lwów 1877 10 ct.

Pasika (nauka o pszczołach) 8ka str. 69. Lwów 1877 14 ct.

Praktyczna nauka hospodarstwa selskoho czast. III 8ka str. 62 Lwów. 1877 20 ct.

Sałdacki patret, opowidanie. 16ka str. 31 Lwów 1877 12 ct.

U propast. doroha chowska. Opowidanie 8ka str. 111. Lwów 1877 18 ct.

Winok, czytanoczka dla selan i miszczan 8ka str. 43. Lwów 1877 8 ct.

LISTY Z KRAJU.

KARCZMA.

Karczma, powiecie: to ognisko zepsucia, to miejsce, gdzie lud nasz topi w kieliszku zdrowie, mienie i moralność swoję. Wszyscy się na to zgadzamy, wszyscy utyskujemy, a tymczasem karczmy jak stały, tak stoją.

Rozprawiamy o oświacie, o podniesieniu mo-

ralnem i materyalnem ludu naszego, pragniemy w tym celu zakładać dlań czytelnie, a zapominamy, iż dopóki potrzeba będzie wyminąć karczmę by dojść do czytelni, pierwsza będzie pełną, a czytelnia pustą. Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby lud nasz był do tego stopnia złym i zepsutym, że wszelkie usiłowania ku jego podźwignięciu muszą spełznąć na niczem. Nie, lud nasz nie jest ani tak bardzo złym, ani tak idealnie dobrym, jakby go czasem przedstawić chciano; lud nasz jest przedewszystkiem — nieoświeconym. Dlaczego jest takim, to inna kwestya, która nie wchodzi w ramy naszej rozprawy, dla nas dosyć stwierdzić ten fakt i wciągnąć go w rachunek.

Sądzę, iż nikt nie zaprzeczy, że każdy człowiek, chociażby najinteligentniejszy, potrzebuje po pracy wytchnienia i rozrywki; im zaś człowiek mniej jest inteligentnym, im mniej wiadomości posiada, tem więcej potrzebuje zewnętrznych wrażeń, by wypełnić wewnętrzną ducha swego próżnię. Dlatego dziecko potrzebuje więcej zabawy i rozrywek, niż człowiek dorosły, dlatego człowiek nieoświecony, który pod wielu względami jest *starem dzieckiem*, bardziej ich pragnie, aniżeli inteligentny. Więc cóż w tem dziwnego, że lud lubi się bawić i bawi się. Nie w tem złe, iż się *bawi*, ale w tem, że się *źle* bawi, a bawi się źle, bo nie ma *sposobności* do uczciwej zabawy. Wieśniak po całotygodniowej pracy, szukając w niedzielę rozrywki znajduje ją w karczmie, w której nie znachodzi nic, oprócz kieliszka.

Zrobić karczmie konkurencyą przez założenie czytelni, byłoby rzeczą bardzo *piękną*, gdyby było *możliwą*, lecz aby mieć ochotę uczęszczania do czytelni, nie dosyć jest umieć czytać, ale potrzeba jeszcze pragnąć pokarmu umysłowego; niestety — lud nasz nie doświadcza jeszcze tego pragnienia, czytelnia zatem karczmie konkurencyi zrobić nie jest w stanie.

Więc wypędzić arendarza, zburzyć karczmę, a postawić czytelnię — ba, ale cóżby na to powiedzieli właściciele propinacyi? A gdyby nawet znalazły się pojedyńcze osobistości, coby tak dalece ofiarność swą dla dobra ogółu posunąć chciały, to ofiarność ta nie na wiele by się przydała, nie mając bowiem karczmy u siebie, poczciwi włościanie nasi znaleźliby ją w sąsiedztwie i piliby po staremu. Zburzyć zatem karczmę na nic się nie przyda, bo lud bawić się musi, potrzeba mu tylko nastręczyć *sposobność uczciwej* i *użytecznej* zabawy, a cel ten zdaniem naszem osiągnąć można jedynie nie zburzeniem, ale *reformą karczmy*.

Gdybym był obywatelem ziemskim, dałbym dymisyą arendarzowi, zburzyłbym tradycyą starej, nieschludnej i obdrapanej karczmy, a na jej gruzach wzniósł nową zreformowaną. Ta nowa karczma musiałaby być skromną, ale schludną gospodą, składającą się z kilku izb: jadalnej, do tańca i na czytelnię z małą biblioteczką — domek ten otoczyłbym ładnym ogródkiem zaopatrzonym w stoły i ławki, wśród którego znalazłaby miejsce huśtawka, karusel, strzelnica, tor do wyścigów konnych i pieszych itp. Panu nauczycielowi wiejskiemu przeznaczyłbym dodatek do pensyi, bądź in natura, bądź w gotówce, zobowiązując go, by co niedzieli miał w czytelni pogadankę o rozmaitych ciekawych, a pożytecznych i pouczających rzeczach, raz z historyi, innym razem z krajoznawstwa lub nauk przyrodniczych, a zawsze ożywioną okazywaniem odpowiednich rycin, lub wykonywaniem doświadczeń. Od czasu do czasu postarałbym się, by jaka wędrowna teatralna trupa zawadziła o moją „karczmę“ i przedstawiła w niej parę odpowiednich sztuczek. (Lub miejscowi amatorowie; p. r.)

A wszystko to dałoby się urządzić nie tylko bez nadwerężenia kieszeni, lecz owszem z własną korzyścią, bo chociażby wówczas wódki mniej odchodziło, to za to byłby zysk na czem innem, gdyż nie upokarzając nikogo łaską, kazałbym sobie płacić za wszystko — czytelnia tylko i wykłady byłyby *bezpłatne*. Kazałbym płacić, ale tak mało, iżby i najuboższy wieśniak mógł się zabawić wraz z rodziną, za własne pieniądze.

Z początku karczma moja byłaby — pustą; ale powoli — powoli, zaczęłaby się zaludniać! Najpierw zapełniłaby się jadalnia starszymi, sala tańców i strzelnica młodzieżą — ale każdy człowiek, tembardziej więc człowiek nieoświecony jest ciekawym, przeto ten i ów ciekawością wiedziony poszedłby posłuchać: co też tam pan nauczyciel w czytelni prawi? Poszedłby raz, drugi, a widząc, że się czegoś nowego dowiedział, że mu czas prędko i miło upłynął, że wie więcej niż drudzy i ma się czem przed nimi popisać, uczęszczałby częściej, ażby wreszcie przywykł do umysłowej rozrywki, zasmakował w niej i zapragnął zajrzeć sam do tych książek, z których dla niego nauczyciel wiadomości czerpie. I wreszcie, po roku, po dwóch, trzech, może i więcej latach, chociażby się karusel nie przestał obracać, a sala tańców nie pozbyła natłoku, to przecież i czytelnia zaroiłaby się chciwymi wiedzy słuchaczami i czytelnikami.

Szanowni obywatele ziemscy! widzę na waszych poczciwych twarzach uśmiechy ironii, widzę, jak wzruszacie ramionami — dla was widok chłopów słuchających w „*karczmie*“ wykładu i czytających książki, to marzenie, utopia, ideologia, jeżeli nie gorzej; to w najlepszym razie obrazek z drugiej połowy dwudziestego wieku.

Nie, moi panowie! tylko szczerych chęci waszych potrzeba, tylko zrozumienia własnego interesu i ochoczego przyłożenia ręki, a marzenie to, stanie się *faktem*, a widok ten, obrazkiem *naszych czasów*.

E. S. *Kraków 12. lipca 1877.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— *Dziejów powszechnych* wydawanych nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie z przeznaczeniem dochodu na utworzenie funduszu „Oświaty ludu“ wyszedł już z druku tom 19, który zawiera ostatnie lata wojen Napoleonskich, rok 1812. kongres wiedeński, powrót Napoleona i upadek powtórny. — Dotąd dzieło to napisane jest przez Fryderyka Krzysztofa Szlossera. Dalszy ciąg w wydawnictwie lwowskiem stanowi znakomite dzieło Karola Hagena: *Dzieje najnowszych czasów* doprowadzone do roku 1848. Na tym roku może być zakończona Historya powszechna. — Dalsze zaś lata od 1848 do 1878 będą podane w ostatnim tomie w rodzaju kroniki, tak aby czytelnik miał cały obraz dziejów powszechnych od najdawniejszych czasów do dni naszych. Całkowity druk ukończonym zostanie w miesiącu marcu 1878 r., całe dzieło obejmuje 22 dużych tomów. Cena w prenumeracie wynosi za całe dzieło 55 złr. w ozdobnej oprawie 72 złr. 60 ct. Po ukończeniu druku cena w dwójnasób powiększoną zostanie. Życzący odbierać dzieła częściowo dla ulżenia w wypłacie mogą porozumieć się z księgarnią nakładową. Nie potrzebujemy wskazywać na doniosłość tego jedynego w naszej literaturze wyczerpującego podręcznika Dziejów powszechnych, który tak wielkiem cieszy się uznaniem za granicą i tak zdrowe i trzeźwe zdolny krzewić poglądy historyczne.

— *Poradnika gospodarskiego* wydawanego jako miesięczny dodatek do czasopisma „Rolnik“ wyszedł Nr. 6. i zawiera; Chów drobiu w zastosowaniu do teraźniejszych potrzeb przez E. Wrześniowską: kura. O chmielu, Rudolfa Günsberga. Kiedy kosić łąki należy, Z. Rościszewskiego. Rady gospodarskie na lipiec.

— *Monachomachia i Antimonachomachia* satyryczno-humorystyczny utwor Ign. Krasickiego opuścił prasę jako 48. tomik Biblioteki Mrówki. (cena 20 centów.)

— W Warszawie wyszła w nowem wydaniu Buchhalterya podwójna i jej zastosowanie do handlu, bankierstwa i różnych zakładów fabrycznych przez Antoniego Barcińskiego. 2 tomy.

Pierwsze wydanie wyszło z druku przed 40 laty i zwróciło na siebie uwagę Obecnie autor opierając się na czterdziestoletniem praktycznem doświadczeniu i na postępie, jaki nauka ta zrobiła w ogóle, opracował nowe wydanie, które właśnie mamy pod ręką. Pomnąc jak ważną jest rzeczą prowadzenie buchhalteryi w każdem przedsiębiorstwie, zwracamy uwagę czytelników na powyższe dzieło, a w szczególności na część II. Z uważnego odczytania dzieła tego i przerobienia przykładu, każdy łatwo może nauczyć się buchhalteryi, bez żadnej innej pomocy i nauczyć się jej według najnowszego i najpraktyczniejszego systemu.

— W sierpniowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* pomieszczony zostanie początek skrócenia obszernej pracy Bertiego p. t. „Kopernik i jego poprzednicy w Italii,“ dedykowanej wszechnicy jagiellońskiej na uroczystość 400-letniej rocznicy Kopernika. Skrócenia tego dokonał dr. Artur Wołyński.

Szkoły.

— W gimnazyach rosyjskich, z polecenia ministerstwa oświecenia zaprowadzone zostały oddzielne o każdym z uczniów kontrole.

Są to wykazy w rodzaju listów stanu służby urzędników. W odpowiednich rubrykach, zapisują się szczegółowe wiadomości o postępach w każdym z przedmiotów szkolnych, jak również wzmianki o sprawowaniu się i t. p.

Kontrole te, pod osobistym nadzorem inspektora zakładu, prowadzą się począwszy od pierwszej przez wszystkie klasy aż do ukończenia szkoły.

— Zarząd oświaty publicznej zezwolił w tych dniach na ustanowienie klasy przygotowawczej przy żeńskiem gimnazyum w Radomiu. Warunki takie same, na jakich istnieją i inne w tym rodzaju klasy.

— Przy sandomierskiem progimnazyum żeńskiem spodziewane jest otworzenie klasy przygotowawczej.

Teatra.

— Reżyserya teatru poznańskiego przygotowuje do rychłego wystawienia „Gonitwy“ czteroaktową komedyę E. Lubowskiego i konkursową komedyą Blizińskiego „Pan Damazy“. Korpus wokalny tej trupy zabiera się do „Nietoperza“ Straussa operetki uczciwej, z mieszczańskiego życia a bez offenbachowskich przysmaczków.

— W Alkazarze warszawskim niezadługo wystawioną będzie komedyoopera Aloizego Żółkowskiego, z muzyką Karola Kurpińskiego p. t. „Szarlatan czyli wskrzeszenie umarłych.“ Sztuka ta grana była w teatrze warszawskim około roku trzydziestego i główniejsze w niej role wykonali: Koss, Zdanowicz, Aszpergerowa. Z grających w niej osób do dziś dożyli jeszcze Świergocki, dyrektor Jasiński i Aszpergerowa.

— Z artystów dramatycznych sceny warszawskiej znajdują się obecnie na urlopie panowie: Królikowski, Rapacki, Ostrowski, Tatarkiewicz, Wolski i Prażmowski, oraz panie: Niewiarowska, Deryng, Popielówna, Ostrowska, Borkowska i Leszczyńska. W rzędzie chorych widnieją na afiszu panowie: Żółkowski, Grzywiński i p. Holtzmanowa. Tym sposobem warszawskiemu personalowi dramatycznemu brakuje obecnie ośmiu artystów i siedm artystek.

Przemysł.

— Fabryka wyrobów lnianych w Żyrardowie w r. 1876 zajmowała 3350 robotników (w tej liczbie 850 cudzoziemców) i przygotowała wyrobów na 1.560,000 rub. sr.

Stowarzyszenia.

— *Towarzystwo pedagogiczne* wydało sprawozdanie ze swych czynności za rok 1876/1877, z którego wyjmujemy następujące liczby: Towarzystwo liczyło członków (?) około 2.250. Kapitał żelazny tow. wynosi 5.420 złr., kapitał obrotowy zarządów oddziałowych 7.741 złr. Kapitał obrotowy zarządku głównego 1.031 złr., zaległości członków wynoszą 5.000 złr. (pomimo iż wkładka roczna wynosi tylko 2 złr. i że zarząd posyła woźnego do członków dla zbierania wkładek). Towarzystwo wydaje swoim nakładem czasopismo pedagogiczne, „Szkoła“ które obecnie wychodzi pod redakcyą Lucyana Tatomira (przedpłata roczna wynosi tylko 4 złr.) Przychód wynosił 4.053 rozchód na wydawnictwo 4.346 zł. niedobór 293 złr. Subwencya Sejmu 500 złr. pokryła niedobór r. bieżącego i poprzednich. Zaległości do ściągnięcia na korzyść wydawnictwa wynoszą 1744. W ogóle prenumeratorów było około 1.000. Stan więc tego wydawnictwa jest zupełnie zadawalniający tak pod względem materyalnym jak i szczególniej pod względem umiejętnej i troskliwej redakcyi. Oprócz 10 roczników „Szkoły“ Towarzystwo wydało 54 broszur treści przeważnie pedagogicznej. Towarzystwo rozpada się na 36 oddziałów mających siedliska swoje w większych miastach kraju. Niektóre oddziały mają kółka pedagogiczne w mniejszych miastach. Siedziba głównego zarządu we Lwowie. Towarzystwo zwróciło szczególną uwagę na brak u nas wzorowych żeńskich zakładów naukowych i aby temu zaradzić, pozakładało szkoły w większych miastach, jako to w Kołomyi, gdzie było uczennic 50, w Rzeszowie uczennic 71, w Stanisławowie uczennic 47, w Stryju uczennic 25, w Tarnowie uczennic 105. Razem uczęszczało do szkół żeńskich 298 uczennic. Ogólny przychód wynosił 4.857, rozchód 5.014. Niedobór wynosił tylko 157 zł. Na

powiększenie przychodu wpłynęło 1.400 zł. subwencyi od sejmu i z innych źródeł. Obecnie ma być otworzona szkoła żeńska w Jarosławiu. Towarzystwo miewa doroczne walne zgromadzenia, które się odbywają w różnych miastach na przemian. W r. b. walne zgromadzenie odbyło się w dniach 15., 16 i 17 lipca w Tarnopolu. W ogóle Towarzystwo prowadzi swoję ze wszech miar pożyteczną pracę pomyślnie, czynności swoje rozwija i zbawienny wpływ wywiera.

— W dniu 30 czerwca na mniejszej sali bazarowej w Poznaniu odbyło się walne doroczne zebranie Towarzystwa pomocy ludowej dla dziewcząt polskich, którego przewodniczącą w dyrekcyi jest p. Bibianna Moraczewska. Zarząd tego towarzystwa składa się wyłącznie z dam, jest tylko w nim (w zarządzie) jeden mężczyzna p. Dobrowolski, do załatwiania tych czynności, których kobieta ze względu na swoje towarzyskie położenie załatwić nie może. Tak tedy do dyrekcyi należą oprócz przewodniczącej panie: Emilia Szczaniecka, Leonardowa br. Kwilecka, Józefa Kościelska, Anastazya Danysz, Helena Osowicka, Bronisława Grabska, Marya Wilczyńska, Marya Szczaniecka, Kaźmira Zabłocka i pan Dobrowolski, redaktor „Dziennika Poznańskiego“. Panie te podzielone są na wydziały i zajmują się ich prowadzeniem. Tak więc tedy jedne opiekują się uczennicami sposobiącymi się do handlu, drugie sposobiącemi się na kucharki, praczki, fryzyerki, fotografistki, bony, aptekarki, nauczycielki i t. d.

Ze sprawozdania odczytanego przez p. Maryą Szczaniecką, dowiedzieliśmy się następujących ciekawych szczegółów: W ciągu roku 1876 dyrekcya Towarzystwa odbyła posiedzeń 22; na ręce dyrekcyi złożono podań o stypendya 71, a tych 51 zostało uwzględnionych, 7 zostawiono do późniejszego rozstrzygnięcia a 13 odrzucono. Stypendystek w roku 1876 było 38, z tych 22 ukończyło naukę, zrzekło się pomocy 2, jedna umarła, a jednej cofnięto pomoc.

Następnie kasyerka, panna Anastazya Danysz, zdała sprawozdanie z kasy, które pouczyło, że w ubiegłym roku całkowitego dochodu było 10,239 marek 30 fen., rozchodu zaś 5,016 marek, pozostało zatem w kasie 5,223 marek 30 fen. Przewodniczącą p. B. Moraczewska w końcu posiedzenia dodała bardzo ciekawe szczegóły o działalności tego Towarzystwa i dołączyła spis uczennic wykształconych kosztem Towarzystwa od samego początku założenia. Od dnia tego zawiązania Towarzystwa, t. j. od 8 maja 1871 r. do 1.go lipca 1877 r. kosztem Towarzystwa ukończyło naukę: 17 nauczycielek, 5 buchalterek, 3 bony, 1 fortepianistka, 11 ochroniarek, 47 krawczyń, 9 modniarek, 1 fryzyerka, 1 introligatorka, 1 rękawiczniczka, 12 wiejskich gospodyń, 8 kucharek, 13 praczek i 1 aptekarka — razem skończyło nauki kosztem Towarzystwa 130 dziewcząt, 12 jeszcze pozostaje w nauce, a zatem uczyło się 142 w ciągu sześciu lat. Przewodnicząca objaśniła, że mimo usiłowań dyrekcyi w zachęcaniu uczennic do rozlicznych praktycznych zawodów, w liczbie zgłaszających się przemagają zawsze krawczynie i nauczycielki. Niezbędnem się więc staje, aby rodzice i opiekunowie, zachęcali dziewczęta do innych zawodów. Jak się okazało z zestawienia rachunków, wykształcenie jednej uczennicy przecięciowo kosztowało 58 talarów; naturalnie były takie, co kosztowały bardzo mało, któremi głównie się opiekowano, a były takie, których uczenie kosztowało dość drogo, jak nauczycielki, muzykantki, aptekarki i t. p. Dyrekcya na następny rok została wybrana taż sama, tylko w miejsce p. Maryi Wilczyńskiej, która oświadczyła, że ponownego wyboru nie przyjmie, wybrano panią Żupańską.

— *Towarzystwo zaliczkowe we Lwowie*, stowarzyszenie zarejestrowane z nieograniczoną poręką, (plac Maryacki l. 9). Rachunek za pierwsze półrocze 1877.

Przychód: Gotówką z dnia 1. Stycznia 1877 4356 zł. 95 ct. Udziały członków 11.372 złr. 22 ct. Wkładki na rachunek bieżący 282.185 zł. 35. Weksle własne 129.651 zł. 72 ct. Pożyczki spłacone 319.212 zł. 86 ct. Procenta 15.342 zł. 2 ct. Fundusz rezerwowy 1672 zł. 93 ct. Koszta administracyi 1296 zł. 88. Koszta procesowe 1010 zł. 44 ct. Zaliczki dla notaryusza 382 zł. 37 ct Razem 766.483 zł. 74 ct. wal. a.

Rozchód. Udziały 805 zł. 8 ct. Wkładki na rachunek bieżący 251.773 zł. 14 ct. Weksle własne 124.983 zł. 5 ct. Pożyczki udzielone 354.004 złr. 9 ct. Procenta 6.541 24 ct. Koszta założenia, ruchomości i administracyi 4.316 zł. 74 ct. Zysk z 1876 roku 12.000 zł. 41 ct. Koszta procesowe 738 zł. 44 ct. Zaliczki dla notaryusza 422 złr. 44 ct. Gotówka z dnia 30. czerwca 1877 699 złr. 12 ct. Razem 766.483 zł- 74 ct. w. a.

Ogólny ruch kasowy 1.532.947 zł. 48 ct.

Bilans surowy: a) Stan czynny: Pożyczki udzielone 333.245 złr. 70 ct. Saldo kosztów założenia, mob. i administracyi 5693 zł. 69 ct. Zaliczki procesowe 1327 złr. 65 ct. Gotówka z dnia 30. czerwca 699 złr. 12 ct. Razem 340.966 złr. 16 ct.

b) Stan bierny: Udziały członków 91.780 złr. 26 ct. Wkładki na rachunek bieżący 153.517 złr. 48 ct. Weksle własne 75.285 złr. 20 ct. Saldo odsetek 12.334 złr. 60 ct. Fundusz rezerwowy 8025 zł. 52 ct. Zaliczki dla notariusza 23 ct. Razem 340.966 złr. 16 ct.

W ciągu bieżącego półrocza wzmógł się fundusz obrotowy o 30.525 złr. 21 ct. Udziały o 10.467 zł. 14 ct., wkładki na rachunek bieżący o 20.412 złr. 22 ct., weksle własne o 4668 złr. 67 ct., saldo procentów o 8880 zł. 73 ct., fundusz rezerwowy o 1672 złr. 93 ct. w stanie biernym — w stanie czynnym zaś pożyczki udzielone o 34.791 złr. 23 ct. w. a.

ROZMAITOŚCI.

— Z Kowna donoszą, że w dniu 13 b. m., pożar zniszczył prawie połowę miasteczka Wiłkomierza.

— Economist londyński podaje cyfry statystyczne, ile kosztowały wojny lat ostatnich. W dwudziestu wojnach, które w tym czasie miały miejsce, zginęło w bitwach lub od chorób 1,948.000 ludzi. Wydatki wynosiły 2 miliardy 413,000.000 funtów szterlingów (9,097,500.000 rubli), a suma ta przewyższa 8—10 razy cały dochód roczny wszystkich państw europejskich i Ameryki północnej. Sumy te wypadły z następującego zestawienia:

		straty w ludziach:
1.	Wojna Krymska	750 000
2.	Włoska z 1859 r.	45.000
3.	Szlezwicko-Holsztyńska z 1864 r.	3 000
4.	Północno-Amerykańska, domowa,	
	Północy	280.000
	Południa	520.000
5.	Prusko-Austryacka z r. 1866.	45.000
6—10.	Wyprawy do Kochinhiny, Meksyku, Marokka i t d.	65.000
11.	Francusko-Niemiecka z 1870/71 r.	
	Francyi	155.000
	Niemiec	60.000
12.	Powstanie Bulgarów i Serbów	25.000
		Razem 1,948.000 ludzi

		Straty w pieniądzach funtów sterling.
1.	Wojna krymska	348,000.000
2.	Włoska z 1859 r.	60.000 000
3.	Szlezwicko-Holsztyńska z 1864 r.	7,000.000
4.	Północno-Amerykańska, domowa	
	Północy	940.000.000
	Południa	460,000.000
5.	Prusko Austryacka z 1866 roku	66,000.000
6—10.	Wyprawy do Kochinchiny, Meksyku, Marokka i t. d.	40.000.000
11.	Francusko-Niemiecka z 1870/71 r. Francyi i Niemiec	50,000.000
12.	Powstanie Bulgarów i Serbów	?
		Razem 1,971,000.000 f szt.

Czyli przeszło 25 miliardów złr.

— W ciągu roku 1876 nawiedziło Warszawę 55 pożarów (więcej o 13 jak w r. 1875), wysokość zaś strat w gmachach ubezpieczonych zmniejszyła się z 95.620 rs. do rs. 69.820. Dzięki troskliwej opiece i czuwaniu nad zachowaniem ostrożności przez miejscową policyą i właścicieli domów, na cyfrę 55 — tylko 17 pożarów wypadło z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem. Straż ogniowa warszawska dzielnie zawsze walcząca z straszliwym żywiołem zniszczenia, składa się z naczelnika, 5-u brandmajstrów, 3-ch maszynistów i z 232 niższej służby tak zwanych „strażaków“. Do dyspozycyi jej jest 102 koni, 3 sikawki parowe, 15 zwyczajnych, 33 czterokołów, beczek do wody, 2 pompy. Oddział przeznaczony do utrzymania porządku na ulicach składa się z 145 ludzi używających 100 koni, 100 wózków dwukołowych i 20 wozów. Oddział kominiarzy ma 5 majstrów, 65 czeladników i 60 uczniów.

— Szarańcza ukazała się w Wiel. Księstwie Poznańskiem pod Lesznem i pod Wschową. W pierwszem miejscu pojawiła się w niezliczonej masie głównie w lasach rydzyńskich i na polach zaborowskich zkąd dalej się rozszerza. Dla wytępienia jej nie przedsięwzięto tam żadnych środków. W drugiem miejscu ukazała się na polach Dembca, gdzie jednak w skutek wezwania radcy ziemiańskiego, od tygodnia przeszło pracuje 300 do 500 osób nad wyniszczeniem strasznej tej plagi. Szarańcza pokrywa przestrzeń około 500 mórg, praca więc nad jej wygubieniem jest bardzo ciężka i mozolna.

Od Redakcyi.

W. Dr. C. S. w Tarnow'e. Przedpłata kwartalna na „Tydzień“ i dzieło Szlossera wynosi 6·62. — otrzymaliśmy tylko 6 42.

W. Pan S. M. w Bezdziatce. Do Nr. 46 wysyłaliśmy do Mielca nie wiedząc o zmianie adresu.

Nadesłane nam wiersze: Ostatnie polskie łowy — Żegnajcie mi góry — Polskie hasło — Ranek — Wieczór — Nad Wisłą — Na gruzach — Spotkanie w gaju — Barcarola — Rozbitki — Czem ..? — W nocy — Pieśń — Do stepów — Z Heinego — Do przyjaciół — Ukarane — Przestroga — Nieudolność słowa — Spiewajmy — Na balu — Kwiatki tatrzańskie — Przy czarnym stawie — Na zawrocie — W strony rodzinne — Perła wschodu — Kościół św. Zofii — Mogiła Achilla — Wyspa Delos — Partenon — Wykopaliska — Swiątynia — Hellada — Teatr Dionizosa — Królowa Bałtyku — Dumki — Posłanie Druhowi B. — Dawniej a teraz — Czy to ostatnia piosnka? — Pożegnanie Nudery — Ze stepu — Jęk nieznany — Tęsknota za rodzinnem siołem — Żebrak — Spiew cyganki przy kołysce — W sianie — Zetikan — w „Tygodniu“ drukowane nie będą.

Prosimy wszakże Szanownych autorów aby zechcieli prozą zasilać nasze pismo, a mianowicie badając miejscowe stosunki, szczególnie pod względem oświaty ludowej i i nadsyłając nam wiadomości i swoje uwagi w tym względzie.

Tow. kas. w Żywcu. Za II i III. kw. „Tygodnia“ otrzymaliśmy tylko 8 złr., należy się nam jeszcze 80 c.

W. Pan Cz. P. W Stryju. Przypominamy się o przyrzeczone.

W. Pan P. w Jaśle. Czy Pan o nas pamięta?

W. Pan A. J. O. R. w Nowym Targu. Prosimy o odpowiedź i listy.

Treść Nr. 47.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.